6 STRON W numerze: Korespondencja z okupacji amerykańskiej CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND = POLISH WEEKLY = PRICE SIXPENCE (IN USA AND CANADA 5c)

Wychodzi co tydzień Dnia 5 lipca 1947 r Rok IX. Nr. 26

PŁACZ DZIECKA

„Droga mamo, Żyjemy źle, nas ze Stasią wywieziono do Iwanowa do Cegielni pracować ciężko, kamienie nosić i cegły. Źle nam tu żyć, myśmy uciekły z powrotem do dietdomu i nas z powrotem zwrócono tutaj. Chodzimy nocować do obcych ludzi, nocowaliśmy już na ulicy pod domem. Droga mamo, weź nas do siebie, a to my umrzemy.

Basia".

Przy imieniu brak nazwiska, jak brak w tym liście adresu matki. List pochodzi z 1947 r., wysłany był do „Polskiej Opieki" w Rosji. Rzecz prosta nie doręczono go. Co też dzieje się z ową Basią, która list pisała? Może i ona i Stasia umarły? A może jeszcze żyją? Może są gdzieś blisko nas, w Anglii? Chyba umarły. Jeśli tak, niech światłość wiekuista świeci ich młodym, umęczonym duszom, my zaś próbujmy pomyśleć o tych dzieciach, które jeszcze żyją, które żyć powinny i być Polakami.

Chrystus, gdy był mały pieściła Go Matka, bawił się, i śmiał, podrósłszy trochę, pomagał przy pracy w warsztacie ubogiego cieśli. Jeden z angielskich prerafaelitów, Hofman Hunt, skomponował obraz, na którym mały Chrystus, dziecko jeszcze, ma już widzenie przyszłej Swej męki: z dwu przypadkowo ułożonych belek, tworzy się krzyż, którego wielki cień pada na Chrystusa, a z wiór splotła się sama korona cierniowa. Mały Chrystus, pracą zmęczony, rozpręża ramiona tak, że zdaje się wisieć na krzyżu. Wzrok dziecka pada na koronę z cierni.

Ogromne, nieprzeliczone rzesze dzieci polskich nie bawiły się nigdy, bo im na to czasu nie stało. Porwane wirem wojny, były bez przerwy w drodze, która jest drogą krzyżową. Przeważająca ich większość osiągnęła szczyt Golgoty, idąc boso przez śniegi, przez stepy, przez tajgi, przez Rosję, przez Niemcy, przez cały świat. Te małe dzieci, te bambina, niosły swój krzyż z powagą wielką, z dostojeństwem. Gdy któreś upadło, przywalał je ciężki krzyż i tak skracała się droga.

Tym, które żyją, które ocalały, trzeba odjąć krzyż, nakarmić je i napoić, a potem dać im do rąk zabawkę i książkę z obrazkami. Polską zabawkę i polską książkę z obrazkami, przedstawiającymi Polskę. Albo nie widziały Polski w ogóle albo ulotniła się już z ich pamięci albo karmiono je fałszywą wiedzą o Polsce.

„Tydzień Dziecka Polskiego", urządzany w Anglii, przyniesie zapewne nie więcej niż kroplę, przysłowiową kroplę w morzu. A to morze cierpienia, jakie stało się udziałem polskich dzieci, jest olbrzymie, nieogarnione, wielkie jak cały świat, jak wszystkie części kuli ziemskiej, którą przemierzyły bose, pokrwawione, przemarznięte stopy owych dzieci.

Myśląc o nich, poddajemy się uczuciu, które rzadko albo nawet i nigdy nie kojarzy się z myślą o dziecku: zaczynamy te dzieci... szanować. Chcielibyśmy złożyć im głęboki ukłon w podzięce za to że żyją, że ocalały, że nie przywalił ich krzyż. To wszystko, czego my doznaliśmy, wydaje się nam lekkie, błahe, pozbawione ciężaru gatunkowego. I na odwrót, wszystko, co te dzieci mają poza sobą, napełnia nas szacunkiem. W tym przewartościowaniu wszystkiego, dokonanym przez wojnę, w tym kilkakrotnym odwróceniu życia o sto osiemdziesiąt stopni, w tym katastrofalnym, panicznym odwrocie, w tej ucieczce od logiki, od sensu, w tym rozbracie przyczyny i skutku, stała się rzecz taka, że oto my wydajemy się samym sobie być młodsi, niż owe dzieci, mające dojrzałość nad wiek i trud życia nad wytrzymałość ludzką.

I to właśnie jest nieludzkie. To godzi w podstawy normalnej etyki, takiej etyki na codzień, ale etyki która ma za sobą tyle lat, ile ich ma ludzkość. Dziecko powinno budzić w nas miłość i uśmiech, nie uczucie powagi i szacunku. Oczywiście, świat dziecka posiada swą autonomię, oczywiście, dramat dziecka nie jest ani trochę mniejszy, niż dramat człowieka dorosłego, i, traktowane z tego punktu każde przeżycie, każde doznanie, każda radość i każde nieszczęście dziecka, zasługuje na szacunek, na współczucie ze strony ludzi dorosłych czy starych. Lecz zwykły, codzienny kontakt z dzieckiem nie powinien w nas wywoływać uczucia szacunku, gdyż dziecko trzeba przede wszystkim kochać.

Trzeba je także rozumieć. To pierwszy warunek. Wchodząc a raczej, bo to rzecz trudna, starając się wejść w autonomiczny świat dziecka, nie zniżamy się ani trochę, ani o jeden cal, przeciwnie, jesteśmy na progu świata zupełnie takiego samego, jak nasz własny, ale świata równocześnie zupełnie innego, w którym drobna z pozoru tragedia, więc n.p. skaleczenie palca, utrata zabawki, strach w ciemności, nagła samotność i t.p. mają swą dynamikę w skali takiej, że mikroskop okazuje się czymś całkowicie zbędnym. Te tragedie, te przeżycia, zapadają rychło w mrok niepamięci a łzy schną i wraca uśmiech, przyczem ich świadek, dorosły człowiek, doznaje pewnego zażenowania na myśl, że nie ma pod ręką jakichś słodyczy, że nie potrafi zaśpiewać jakiejś piosenki albo wymyśleć na poczekaniu jakiejś bajki.

Piosenka czy bajka nie uspokoją płaczu, którego przyczyną jest głód albo zimno, albo choroba. Gdy człowiek idzie czasem w nocy przez miasto i usłyszy w jakimś domu płacz dziecka, ucieka czym prędzej, wiedząc, że nic nie pomoże oraz wiedząc, że przy tym dziecku jest matka. Mimo wszystko jednak, płacz dziecka biegnie za uciekającym i ściga go przez miasto. Pomnóżmy teraz ten płacz przez jakąś olbrzymią cyfrę, podnieśmy go do którejś potęgi, oraz — i to najważniejsze — starajmy się uświadomić sobie, że ogromna ilość polskich dzieci są to „okrągłe sieroty", że nie mają ani matki ani ojca, że może jedynie i w najlepszym wypadku ktoś zawodowy, jakaś *nurse*, zbudzi się w nocy, i zawodowo, fachowo, tylko fachowo, postara się zbadać przyczynę płaczu i uspokoić płacz.

Nie uciekajmy od płaczu polskiego dziecka. Niech nikt z nas nie udaje przed sobą samym, że tego płaczu nie słyszy. Kłamstwo! To nie płacz, ale konwulsje, zanoszenie się, krzyk bolesny, rozdzierający serce nie uszy, które, choć zatkane watą, słyszeć muszą. „Tydzień Dziecka Polskiego" służy przede wszystkim temu celowi, byśmy ogarnęli możliwie największy odcinek, na którym króluje płacz. Ten płacz, na miłość Boską i miłość ludzką, trzeba za jakąkolwiek cenę, w tempie jak najszybszym uspokoić i dołożyć wszelkich sił, by jego miejsce zajął szeroki, dziecinny, beztroski śmiech, będący przyrodzonym prawem dziecka.

Wróćmy polskiemu dziecku śmiech, który zgubiło gdzieś w obcych, dalekich ziemiach, idąc boso przez drogę krzyżową. Szacunek? Owszem, ale to jest nasza reakcja prywatna, osobista, idąca na nasz własny rachunek. Powinniśmy podsumować bilans cierpień dziecka, położyć kropkę, czerwoną, jak krew, i rzec sobie, że więcej i dłużej to dziecko cierpieć nie może. Że już nie będzie cierpiało. Że ono będzie niczym innym, jak tylko dzieckiem, nie człowiekiem przedwcześnie dojrzałym, który przeskoczył przez wszystko to, co jest nie przywilejem, ale prawem dziecka.

Trafiają się, zwłaszcza pośród przybyłych z Rosji, dzieci o spojrzeniu, które jest zbyt mądre, dzieci o zgaszonych oczach, o zmarszczkach na czole. Ach, przecież bolesna książka p. Ireny Wasilewskiej „Za winy niepopełnione" wspomina o dzieciach, które w Rosji... osiwiały. Jakież to nieludzkie! I jak bezbożne! Dziecko, które osiwiało! Na myśl o tym otwierają się nam serca i otwierają się nam uszy, i choćbyśmy nie wiem jak chcieli, uciec nie potrafimy przed płaczem polskiego dziecka, który wibruje, tętni, wzmaga się tak, że jego echo trwać musi dłużej niż przez jeden tydzień, przez „Tydzień Dziecka Polskiego".

Budowa naszego uchodztwa był od samego początku nienormalna, gdyż 99 pct. emigrantów albo służyło w wojsku albo zatrudnionych było w urzędach. Ta budowa zmienia się teraz w sposób radykalny, gdyż 99 pct. emigrantów musi szukać pracy u naszych gospodarzy czyli dziecko, jak było, tak i będzie oddawane w ręce obce, w ręce fachowe i stanie się przedmiotem wychowania standartowego, które napewno ma swe zalety i napewno ma swe minusy. Zalet nie widzi tylko barbarzyńca, dlatego jakiś dziennikarz rosyjski, po krótkim pobycie w Anglii, przeraził czytelników „Prawdy" wiadomością, że dzieci są tu prowadzone na... smyczy. Zupełnie jak psy. Czy w tej obserwacji wyraża się głupota owego dziennikarza, czy mądrość propagandy, to już nie nasza rzecz.

Ta, według barbarzyńcy rosyjskiego, „smycz" jest przyrządem doskonałym, jak doskonałe są tu inne ulepszenia ściśle technicznej natury. Lecz Polakowi wydaje się, że dzieci są tu prowadzone i wychowane trochę zbyt jednakowo, czego wyraz zewnętrzny widzimy choćby w tym, że niemal wszyscy Anglicy piszą tak samo, stawiają litery w jednaki sposób.

Lecz to sprawa nie nasza, podczas gdy naszą sprawą powinno być to, by dzieci polskie nie traciły indywidualności w obcym żłóbku albo w obcym przedszkolu. Niech biorą z Anglii, co jest mądre i dobre i słuszne, a znajdzie tu tych wartości bardzo wiele, ale niech zostaną sobą, koniecznie sobą, t.j. Polakami. Niech zatracą to, co w polskim charakterze jest wadą, niech zachowają i wzbogacą to, co w polskim charakterze jest zaletą. Mamy napewno dużo wad, ale mamy także na pewno wiele zalet. Bezwarunkowo nie przystoi nam kompleks niższości, i w dziecku polskim powinniśmy wyrabiać nie pokorę, ale dumę, ale poczucie honoru i odwagę przekonań.

Jednak to może sprawa dalsza, podczas gdy zagadnieniem, i nie tylko „Tygodnia Dziecka", lecz każdego, absolutnie każdego dnia dziecka polskiego, jest prawo do śmiechu, do radości życia, do polskiej piosenki, do polskiej bajki, do polskiej książki z obrazkami, przedstawiającymi przede wszystkim Polskę.

I niechaj śmiech dziecka będzie tak głośny, byśmy go usłyszeli wszyscy. Wtedy stanie się nam trochę, bodaj odrobinę, lżej na sercu.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PAMIĘTAJ O „TYGODNIU DZIECKA"

1 — 7 LIPCA

POMÓŻ DZIECKU I MŁODZIEŻY!

PO DRUGIM ZJEŹDZIE SPK

Gdy w dużej sali Caxton Hall w Londynie zebrało się kilkuset Delegatów Kół SPK, reprezentujących 9 krajów, trudno było przewidzieć jakim torem potoczą się obrady i jaki będzie ich wynik.

Zjazd wypadł w okresie, i dla SPK i dla całej emigracji, krytycznym.

W czasie ubiegłego roku ramy Stowarzyszenia rozrosły się znacznie, do skali organizacji o zasięgu światowym. Fakt ten, niewątpliwie radosny, stworzył jednak, tak władzom centralnym jak i zarządom poszczególnych kół, wiele trudności, które nagromadzały się z biegiem czasu i w momencie otwarcia Zjazdu doszły do punktu kulminacyjnego, wymagając trudnych i daleko idących decyzji zebranych Delegatów.

Z drugiej strony komplikował obrady fakt, że właśnie w czasie ubiegłego roku zapadły decyzje, powołujące PKPR i stawiające każdego poszczególnego żołnierza wobec zagadnień, które sam musiał rozstrzygać.

Wreszcie ogólna sytuacja światowa, rozgoryczenie po klęsce, kryzys autorytetów i nieufności do władz stanowiły dalsze czynniki, które utrudniały obrady i nieraz wprowadzały do nich element podniecenia i zrozumiałej nerwowości.

Chwila była zatem trudna i Zjazd rozpoczął się w atmosferze naprężenia, jakże niebezpiecznego w obliczu skomplikowanych zagadnień, które należało rozstrzygnąć.

I tu nasuwa się od razu pierwsza uwaga: Delegaci zdali egzamin.

Były przemówienia impulsywne i gorące, były polemiki i nieustępliwe krytyki, były pretensje i zarzuty najrozmaitszego rodzaju, ale we wszystkich głosach przebijała troska o losy Stowarzyszenia i jego pełną niezależność. Może niektóre wypowiedzi były niezupełnie właściwe, może często niedość bezstronne, ale zawsze szczere i wypowiedziane z odwagą i bezkompromisowo.

Z biegiem przedłużającego się Zjazdu zaczęły się wyrównywać wstępne różnice, zanikała powoli nieufność i gdy trzeciego dnia rozpoczęły się obrady w komisjach, stanęły one na wysokim na ogół poziomie i pozwoliły na przygotowanie kilkuset wniosków, z nowym statutem włącznie, które zostały później z niewielkimi zmianami, uchwalone przez plenum. I ogólne założenia statutowe i poszczególne uchwały dowodzą, że gros zebranych zrozumiało, na czym polega charakter Stowarzyszenia jako organizacji światowej, działającej jednak na terenie obcym, w trudnych warunkach materialnych i politycznych.

Specjalnie długo dyskutowano sprawę „opornych". To złożone i bliskie sercu żołnierskiemu zagadnienie zostało wszechstronnie naświetlone. Zjazd wypowiedział się kategorycznie za obroną kombatanckich i ludzkich praw kolegów, którzy z pobudek ideowych odmówili wstąpienia do PKPR. Należy natomiast wyodrębnić od nich wszystkie te elementy, które nie są pochodzenia polskiego a z dobrym imieniem żołnierza nic nie mają wspólnego. Bardzo mocno stawiano również sprawę pomocy rodzinom żołnierzy i współdziałanie przy ich połączeniu a także starania o zrównanie w prawach wszystkich kombatantów, bez względu na to na jakich terenach walczyli.

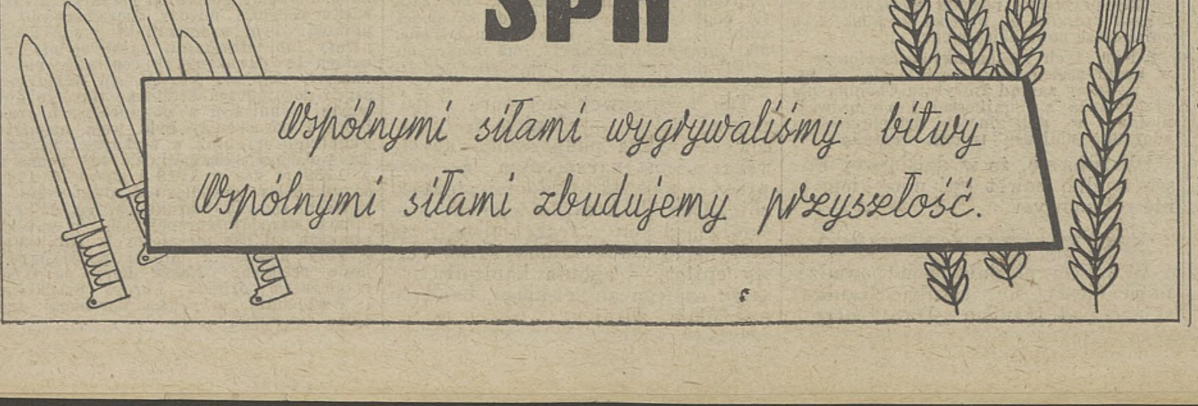
Wielu Delegatów wypowiedziało pogląd, że należy dołożyć wszelkich starań, by władze Stowarzyszenia uzyskały maksimum niezależności, zwłaszcza w stosunku do władz wojskowych, i by centrala pracowała z poczuciem świadomości, że akcją swą sięgnąć musi nawet do najdalej położonych terenów, na których znajdują się polscy żołnierze.

Gdy piątego dnia obrady wyczerpały wnioski i gdy nadszedł moment wyborów nowych władz, coraz mocniej poczęło się wybijać dalsze spostrzeżenie: Zjazd przyniósł wyniki pozytywne, zdał egzamin. Nowe ramy Stowarzyszenia, uchwalone przez Delegatów, dają podstawę do jego dalszego i korzystnego rozwoju, uchwały, przekazane do wykonania, stanowią słuszne i wartościowe wskazania na przyszłość.

Rządzenie się prawami demokratycznymi w obliczu obcych przepisów i trudności — nie jest rzeczą łatwą, a jednak Zjazd dowiódł, że jest ono możliwe. Może nie wszyscy Delegaci wrócili do swych kół z przeświadczeniem, że udała im się obrona całości lokalnych wniosków, ale niewątpliwie tylko ludzie złej woli mogliby powiedzieć, że kompromisy, których należało dokonać, nie godziły się z dobrem Stowarzyszenia. A przecież ludzi złej woli nie było na Zjeździe.

I to jest stwierdzenie najważniejsze.

JÓZEF GARLIŃSKI



Przegląd tygodniowy

O czym się nie mówi, o czym się nawet myśleć nie chce

W DWA LATA PO SAN FRANCISCO

Otwarcie konferencji Bevin - Bidault - Mołotow w Paryżu zbiegło się niemal co do dnia z drugą rocznicą podpisania Karty Narodów Zjednoczonych, tj. powołania do życia ONZ. Tak to przez zbieg okoliczności, dokładnie w dwa lata po stworzeniu organizacji, mającej zapewnić jedność świata i przeszkodzić jego rozpadnięciu się na dwa wrogie obozy, zebrała się konferencja dla podjęcia ostatecznej próby udaremnienia podziału, który tymczasem poczynił olbrzymie postępy. Ba, jest to być może raczej próba ustalenia odpowiedzialności za podział już w praktyce dokonany. Między 26 czerwca 1945 w San Francisco, a 27 czerwca w Paryżu przebyliśmy szmat drogi...

Sięgając wspomnieniem do tamtych chwil, trzeba stwierdzić, że rozwój, który się dokonał był znacznie szybszy, aniżeli można było przewidywać. Jego kierunek nie był niespodzianką: organizacja tak w pomyśle poroniona, obciążona przekleństwem veta wielkich mocarstw, które skazuje ją na całkowitą niemoc w obliczu sowieckiej polityki agresji, nie mogła odegrać żadnej roli. Jeśli świat wówczas tego nie widział, to dlatego, że nie chciał widzieć.

Co natomiast wówczas nie było możliwe do przewidzenia, to tempo rozkładu tej organizacji. Przeważało zdanie, że potrwa lat kilkanaście, nim ONZ podzieli los Ligi Narodów, która dopiero po latach bezmała dwudziestu chylić się zaczęła ku upadkowi. Tymczasem w rzeczywistości wypadki światowe biegną dziś znacznie szybciej niż po pierwszej wojnie światowej; to, co wówczas trwało lat dziesięć, teraz zamyka się w jednym czy dwu.

Oczywiście z okazji drugiej rocznicy ONZ usiłowano wykazac, że jej bilans nie przedstawia się jednak tak beznadziejnie, jak to się powszechnie sądzi i że nie należy w nią zwątpić. Nie wydaje się jednak by głębokie powątpiewanie szerokich mas na Zachodzie zostało przez te okolicznościowe frazesy podważone.

CZY ZNOWU W MANDŻURII?

Jedynym sposobem uratowania powagi ONZ byłoby zrobienie przez mocarstwa zachodnie użytku z tych skromnych, ale bądź co bądź istniejących możliwości, jakie Karta oferowuje. Ba, gdyby istniała wola po temu, możliwości nie byłyby wcale takie małe. Jak bowiem niedawno udowodnił delegat brytyjski Sir Axander Cadogan, veto nie musi bynajmniej przeszkodzić akcji zbiorowej przeciw napastnikowi; Karta przewiduje „zbiorową samoobronę" w wypadku, gdy Rosja nie podejmie sama akcji. Niestety tej gotowości przeciwstawienia się agresji nadal nie ma, nawet w wypadkach gdy agresja ma charakter jawny i wojskowy, a nie tylko polityczno-ideologiczny.

Z takim jaskrawym przypadkiem agresji mamy do czynienia na Dalekim Wschodzie, gdzie lista zbrodni sowieckiego napastnika obejmuje: 1. uzbrojenie i wyposażenie komunistycznej armii w Mandżurii i dopomożenie jej różnymi sposobami do opanowania przeszło czterech piątych tego kraju; 2. niedotrzymanie zobowiązań dotyczących portów Dairen i Port Arthur, do których Rosjanie siłę nie dopuszczają wojsk chińskich pomimo traktatu chińsko sowieckiego z 1945 roku; 3. próby oderwania od Chin Sinkiangu; 4. czynna interwencja w wojnie domowej w innych częściach Chin.

Wypadki w Chinach stanowić powinny groźne ostrzeżenie dla świata zachodniego. Jest przecież dziś rzeczą powszechnie uznawaną, że upadek Ligi Narodów rozpoczął się w roku 1931, gdy Japonia zagarnęła Mandżurię, z której utworzyła marionetkowe państwo Mandżukuo. Liga wówczas nie uczyniła niczego, aby agresję japońską powstrzymać, co tak rozzuchwaliło państwa napastnicze, iż w końcu wojna stała się nieunikniona.

Teraz Rosja czyni dokładnie to samo, co Japonia, a ONZ jeszcze mniej reaguje na to, niż Liga na napaść japońską. Wiceprezydent Chin ostrzega, że jeżeli mocarstwa pozostaną bezczynne, wypadki w Mandżurii znowu staną się zarzewiem wojny światowej, ale Zachód woli nie słyszeć tych ostrzeżeń. Prasa angielska ani słowem nie wspomina o jego wypowiedzi, przemilczając przeważnie również protesty rządu chińskiego. Lepiej nie myśleć o tym, co się dzieje na Dalekim Wschodzie...

GŁOS WATYKANU

Jest rzeczą interesującą, że codzienna prasa brytyjska przeważnie zignorowała również niezmiernie charakterystyczne dla obecnej sytuacji w świecie wystąpienie Watykanu. Nigdzie nie widzieliśmy w pismach angielskich wzmianki o artykułach oficjalnego pisma Watykanu *"Osservatore Romano"*, choć są one z pewnością wydarzeniem o dużym znaczeniu.

Ujmując rzecz krótko: Watykan nawołuje Stany Zjedn. i Rosję do zgodnego współżycia, potępia konflikty ideologiczne i staje na stanowisku, że komunizm i demokracja mogą współżyć pokojowo. Pismo watykańskie bynajmniej nie obciąża Rosji odpowiedzialnością za dzisiejszą sytuację i stara się wyraźnie zachować neutralność w pogłębiającym się konflikcie pomiędzy Zachodem a Wschodem.

Jeśli uświadomić sobie, że Watykan zawsze uważał komunizm za największego wroga i słusznie, gdy jest on nową religią, jeśli pamiętać słowa Papieża Piusa XI, że „komunizm jest zasadniczo błędny i nikt, kto pragnie uratowania cywilizacji chrześcijańskiej nie może z nim współpracować w jakimkolwiek przedsięwzięciu", to nie można nie stwierdzić, że zmiana stanowiska jest bardzo poważna.

Czym ją wytłumaczyć? Niektórzy sądzą, że pozostaje ona w związku z napiętą sytuacją polityczną we Włoszech, gdzie rząd chrześcijańskich demokratów, pomimo uzyskanego votum zaufania, jest poważnie zagrożony przez komunistów. Inni domyślają się, że Watykan dziś pod wpływem troski o los dziesiątków milionów katolików w krajach Europy wschodniej, rządzonych przez Sowiety. Najbardziej jednak prawdopodobne wydaje się, że uznaje on konflikt za nieunikniony, o ile nie nastąpi zasadnicze odprężenie pomiędzy Sowietami, a światem zachodnim; usiłuje więc do tego odprężenia się przyczynić stawiając pokój ponad wszystko.

Gdyby doszło do wojny, sytuacja Watykanu byłaby bardzo ciężka, gdyż Włochy byłyby niewątpliwie zalane przez wojska sowieckie. Polityka neutralości pomimo wyraźnych sympatii dla jednej strony byłaby zapewne koniecznością, tak jak konieczna była polityka neutralności w ostatniej wojnie pomimo świadomości niebezpieczeństwa grożącego chrześcijaństwu ze strony pogańskiego hitleryzmu.

TAJEMNICA GEN. EISENHOWERA

Jeszcze jedno wydarzenie przeszło prawie niepostrzeżenie, choć z pewnością posiada sporą wagę: zapowiedź ustąpienia w roku przyszłym gen. Eisenhowera ze stanowiska szefa sztabu Stanów Zjedn., które to stanowisko objął on w roku 1945 po obecnym sekretarzu stanu gen. Marshallu.

Krótki okres czasu spędzony przez gen. Eisenhowera na tym ważnym stanowisku, jego młody wiek, który wyklucza możliwość ustąpienia na skutek przekroczenia granicy wieku i ogromny prestiż naczelnego wodza sojuszniczego w zwycięskiej inwazji Europy — wszystko to czyni ustąpienie gen. Eisenhowera dość zagadkowym. Być może wytłumaczenia tej zagadki szukać należy w faktach omówionych świeżo w niezwykle ciekawym artykule amerykańskiego tygodnika *"Time"*. Popularne to pismo twierdzi mianowicie, że Eisenhower, świetny gdy szło o dowodzenie na wojnie, nie umie z powodzeniem wygrać batalii o armię w Kongresie. Ta zaś batalia jest dziś naczelnym zadaniem szefa sztabu.

Chodzi tu o przekonanie opornego, nastawionego na oszczędność Kongresu, który nie bardzo chce słyszeć o wprowadzeniu obowiązkowej służby wojskowej, iż w imię pogotowia wojennego konieczny jest znacznie większy, niż dotąd wysiłek wojskowy. To się Eisenhowerowi nie udało.

208 DYWIZJI SOWIECKICH, — 14 AMERYKAŃSKICH

"Time" wystąpił z tą tezą w artykule, który rzuca wiele światła na stan amerykańskich sił zbrojnych i na plany strategów amerykańskich.

Według pisma amerykańskiego, Rosja posiada obecnie pod bronią 208 dywizji, a Stany Zjedn. zaledwie 14. Rosjanie mają w Europie 93 dywizje i 7.200 samolotów bojowych; w rejonie Środkowego Wschodu — 82 dywizje i 6.000 samolotów; na Dalekim Wschodzie 33 dywizje i ponad tysiąc samolotów. W ciągu 30 dni Rosja mogłaby zmobilizować 10 i pół miliona ludzi. W rezultacie Rosjanie są w stanie z łatwością dotrzeć do La Manche i do Zatoki Perskiej i zagarnąć resztę Korei czy Chiny.

Stany Zjedn. ze swej strony mają w gotowości swą flotę, która posiada 6.000 samolotów i dwie dywizje piechoty morskiej. Armia liczy ponadto 12 dywizji i 9.000 samolotów. Armia amerykańska w Europie to młodzież prawie nieprzeszkolona; prawdziwe dywizje w Europie są tylko ... dwie. Ponieważ jednak Stany Zjedn. mają bombę atomową, panowanie na morzu i olbrzymi potencjał przemysłowy — wywodzi *"Time"* — gen. Eisenhower mógłby w chwili obecnej zagwarantować przynajmniej nierozegraną. Duża część Europy i Azji mogłaby być zajęta przez Rosjan, ale Stany Zjedn. są tymczasem zabezpieczone przed atakiem lotniczym i podczas gdy rzucałyby bomby atomowe, mogłyby same mobilizować swe siły.

Według rzeczoznawców amerykańskich Rosja w r. 1948 będzie mogła posłać do 1000 bombowców nad Amerykę, ale bez szans powrotu do baz. W 1949 Rosja mieć będzie pociski kierowane o zasięgu 3000 mil i ładunku jednej tonny — coś w rodzaju V2, ale o znacznie większym zasięgu. Do 1952 będą do dyspozycji pociski bakteriologiczne. Po 1952 Rosja mieć będzie bombę atomową. Jeśli tymczasem siły Ameryki będą dalej maleć, to w 1957 Rosja uzyska przewagę. Będzie to rok kryzysu.

W świetle danych *"Time"* lepiej można zrozumieć i żądanie Francuzów, by Mołotow został zaproszony do Paryża na konferencję i artykuły w *"Osservatore Romano"* i wiele innych faktów. Na Europę kładzie się cień hord z Azji, które mogą ją i zalać i których okupację Europa zachodnia — w ślad za wschodnią będzie musiała ewentualnie znieść przez dłuższy czas, zanim zostanie oswobodzona.

Londyn, 29 czerwca 1947.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Może największą ilość szczegółowych reportaży z Polski znajdujemy w prasie szwedzkiej. Szwedzi z tytułu swego bałtyckiego z nami sąsiedztwa bardzo się Polską interesują, co więcej zaś bardzo pragną z Polską handlować, ponieważ są od polskiego węgla silnie zależni. Dlatego też społeczeństwo szwedzkie chce naprawdę wiedzieć co się w Polsce dzieje.

Ostatnio bawił w Polsce korespondent „*Svenska Dagbladet*" który w numerze z 15 czerwca w artykule p.t. „Niepewność jutra - oto uczucie, które nagminnie panuje w Polsce" opowiada co widział.

„Po półtorarocznej nieobecności w Polsce, obserwatora zagranicznego uderza duży postęp w odbudowie, dokonany w całym kraju, a specjalnie w Warszawie. Jednak, jeśli uważniej przyjrzeć się sytuacji, można z łatwością dostrzec wielkie zmęczenie i pewne zniechęcenie w szerokich warstwach społeczeństwa polskiego, wobec ciężarów i zadań związanych z odbudową kraju.

„Depresja w społeczeństwie polskim ma raczej charakter psychologiczny niż polityczny; choć różnice w dziedzinie polityki są w Polsce nadal wielkie, jednak nędza, cierpienie, szarość dnia powszedniego działają przygnębiająco i co drugi Polak marzy o tym, by móc wyjechać z kraju do Ameryki ...

„Sytuacja jest rzeczywiście niezwykle. ...dzaj w rb. wynosić będzie najwyżej 50 pct zbiorów roku 1938. Jedynie duży import zboża może uratować Polskę od głodu. Włościaństwo polskie, które stoi na wybitnie niskim poziomie ma trudności w obchodzeniu się z nowoczesnym sprzętem rolniczym, kooperatywy rolnicze nie mają u chłopów powodzenia i słabo się rozwijają.

„Przesunięcie wielkich mas ludnościowych, przyczyniło się do tego, że całe połacie kraju są nieuprawione lub też zaniedbane. Brak sił roboczych po wsiach grozi trudnościami w zebraniu zbiorów. Powodzie jeszcze bardziej pogorszyły sytuację w Polsce i tylko mocno-czerwono zabarwieni optymiści urzędowi twierdzą, że sytuacja żywnościowa jest lepsza niż w roku 1946. Racje żywnościowe silnie się zmniejszają, równocześnie zaś ceny na wolnym rynku idą w górę, o wiele szybciej niż płace urzędników. Ludność w Polsce z przerażeniem myśli o nadchodzącej zimie.

„Odzieży nadal brak. Dla tych co mają pieniądze, wszystko czego dusza zapragnie jest do kupienia, ale po zawrotnych cenach. Garnitur męski kosztuje tyle, ile wynosi półroczny zarobek urzędnika, a obiad w restauracji tyle co tygodniówka robotnika.

„Wódka tania i łatwa do nabycia płynie nadal strumieniami, przysparzając kasom rządowym dużo pieniędzy i działając destruktywnie na zdrowie społeczeństwa polskiego. Tytoń, bardzo drogo, można nabyć bez ograniczeń. Wobec tych warunków łatwo zrozumiały jest fakt, że cała Polska jest czarną giełdą a każdy Polak mniej lub więcej czarnogiełdziarzem. Jedyną realną wartością monetarną w Polsce jest kurs dolara na czarnej giełdzie, a jego częste fluktuacje są zależne od najdrobniejszych zmian politycznych w kraju..."

Tak wygląda Polska w oczach neutralnego Szweda.

LECTOR

Polska pod okupacją

Prasa o zagadnieniach kultury i sztuki

DZIESIĄTA ROCZNICA SZYMANOWSKIEGO I SETNA ROCZNICA CHOPINA

W Kraju obchodzono niedawno uroczyście dziewięciolecie śmierci Karola Szymanowskiego. Z okazji tej ukazało się w prasie wiele artykułów omawiających dorobek tego wybitnego kompozytora. W miesięczniku „Twórczość" (nr 5) Stefan Kisielewski, który obok literatury zajmuje się muzyką, zamieścił ciekawy rozbiór dzieł Szymanowskiego.

SETNA ROCZNICA CHOPINA

Już rozpoczęto przygotowania do odpowiedniego uczczenia w 1949 roku setnej rocznicy śmierci Chopina. W roku tym ma ukazać się w Polsce pełne wydanie dzieł Chopina, które zostało opracowane przez powołanych specjalistów. W Warszawie ma też odbyć się światowy kongres chopinowski. Również w Żelazowej Woli ma być uporządkowany domek, w którym urodził się Chopin i urządzona wielka wystawa chopinowska. Istnieje też projekt sprowadzenia z Paryża zwłok Chopina i pochowanie ich na Wawelu. Wszystkimi tymi sprawami zajmuje się zasłużony Instytut Fryderyka Chopina, którego zarząd został świeżo wybrany w sposób zupełnie prawidłowy.

Wszystko więc, wydawało by się jest odpowiednio przygotowane. Tymczasem — nie. Nowowybrany zarząd, a zwłaszcza wybitni muzycy w nim zasiadający: Piotr Rytel i Adam Wieniawski nie podobają się Jarosławowi Iwaszkiewiczowi który za to podoba się reżimowi. Zdaniem Iwaszkiewicza do zarządu Instytutu powinni wejść lepsi muzycy i przedstawiciele związków zawodowych. Krytykując nowowybrany zarząd na łamach „Nowin Literackich" (nr. 11) Iwaszkiewicz pisze:

„I to taka instytucja, mająca takich „muzyków" na swoim czele, ma reprezentować nas w wielkim roku chopinowskim nie tylko w kraju, ale i za granicą. „Któż jest na czele waszego komitetu" — zapytają mnie na pewno moi przyjaciele w Paryżu i Londynie. — Czy Perkowski?" czy Fitelberg? Może Palester? Może która z waszych wielkich artystek?" — O, nie! To są panowie Wieniawski i Rytel..."

Ten pozornie niezrozumiały atak Iwaszkiewicza wywołał polemikę w prasie krajowej. „Gazeta Ludowa" (nr. 154) pisze:

„Sytuacja jest rzeczywiście niezwykle groźna. Ci ludzie, którzy wybierali nowy zarząd Instytutu Chopina, nie brali pod uwagę, że Iwaszkiewicz ma tylu przyjaciół za granicą, z którymi trzeba się liczyć. Powoływanie się na przyjaciół londyńskich nie było dotychczas na czasie. Ale wobec zmienionej konstelacji politycznej, Londyn stał się jadalny i Iwaszkiewicz z wrodzoną sobie bystrością w lot to zrozumiał.

„Sytuacja jest istotnie bardzo kłopotliwa. Bo któż może wiedzieć, jakich jeszcze przyjaciół posiada Iwaszkiewcz w innych krajach, na wszelki wypadek, i co oni jeszcze powiedzieć mogą.

„Nam tych stosunków pozbawionym i w kraju zasiedziałym wydaje się, że nowo wybrany zarząd Instytutu Chopina nie przedstawia się najgorzej i, co najważniejsza, w działalności dotychczasowej zdał już niejeden trudny egzamin".

Okazuje się, że w dzisiejszej Polsce trudno nawet być muzykiem - nie-reżymowym.

SZTUKA SZANIAWSKIEGO

W Kraju niesłabnącym powodzeniem cieszy się sztuka Szaniawskiego pod tytułem „Dwa teatry". Po Krakowie wystawiły ją Katowice i Warszawa. Jak zgodnie podkreśla krytyka jest to najlepsze osiągnięcie powojennej dramaturgii polskiej.

W atrakcyjnej formie przedstawienia na scenie teatru w teatrze Szaniawski zabiera głos w zasadniczym sporze krajowego życia literackiego (a może nie tylko literackiego), w sporze o realizm, sugerując widzowi niewystarczalność realizmu i konieczność wyjścia poza niego, uzupełniając go irracjonalizmem.

Według reżimowych krytyków literackich nowa „demokracja ludowa" w Polsce powinna przestrzegać w sztuce zasady surowego realizmu jako przeciwstawienia idealizmu „mieszczańskiego". Dlatego też komunistyczne pismo literackie „Kuźnica" (nr. 18) skrytykowało ostro sztukę Szaniawskiego jako „reakcyjną" za obronę „uroków niedorzeczności" i „romantyzmu politycznego".

„Na propagandę czystego irracjonalizmu — pisze „Kuźnica" — nie ma chyba u nas dzisiaj miejsca. Ale trudno zaprzeczyć, że propaganda „uzupełnienia" realizmu przez irracjonalizm, kończąca się apologią „krzesania iskier ze słońca szablami z tektury" i akcentem pogardy dla „prawdy większości", ma reakcyjno-polityczny wydźwięk i niedwuznacznie reakcyjno-polityczne filiacje..."

Tak więc nawet literatura w dzisiejszej Polsce — zdaniem reżimowców — winna podporządkować się wskazaniom narzuconym z góry przez wszystko-najlepiej-wiedzącą elitę. Gdy się ktoś do tego nie stosuje, jest on „reakcjonistą", za którym to słowem idzie zaraz dalszy epitet — agenta kapitalistycznego, szpiega angielskiego, bandyty podziemia, zdrajcy.

O POGLĄD NA DZIEJE POLSKI

W prasie krajowej toczy się dyskusja o właściwy pogląd na dzieje Polski i jej rolę. Obok skłonności idealizujących rolę dziejową Polski, występują dążenia do krytycznej jej oceny, a nawet świadomego jej pomniejszania. Jednym z przedstawicieli tego drugiego kierunku jest dr. Henryk Worszycki, reprezentujący równocześnie, rzecz charakterystyczna, punkt widzenia komunistyczny. W artykule zamieszczonym w kwartalniku „Dzieje Najnowsze" (nr. 1), wydawanym przez Instytut pamięci Narodowej pisze on:

„W latach niewoli dla historyków naszych najważniejszy był problem rozbiorów. W 1918 roku okres niewoli wydał się nam zjawiskiem przejściowym, a na plan pierwszy wysunął się problem walki o niepodległość i odzyskanie państwa. Dziś wszystko to musi ulec nowemu przewartościowaniu. Druga wojna nauczyła nas, że są najrozmaitszego rodzaju niepodległości. Nie byliśmy naprawdę niepodlegli za Sasów i Stanisława Augusta; za to lata 1807 do 1830 nie były okresem całkowitej niewoli. Wreszcie i nasza mocarstwowość okresu 20-lecia w znacznej mierze była złudzeniem. Słowem: Polska od początku XVIII wieku oscyluje między niezależnością a niewolą! Tym samym fakt przejściowej utraty lub odzyskania państwa, nie powinien być uważany za centralny punkt naszych dziejów. Nie da się wobec naszych doświadczeń utrzymać tezę, że głównym czynnikiem w obu procesach (rozbioru i odrodzenia) była wola niepodległości lub jej brak u większości narodu. Ta wola niepodległości nic nie pomogła w 1939 r., zaś w 1918 i znowu w 1945 odzyskaliśmy niepodległość równocześnie w tych samych warunkach, co dziesiątki innych narodów europejskich, w wyniku procesów od nas niezależnych. Nie wolno z góry ulegać ... mitowi wyjątkowości losów polskich. Nasze dzieje są tylko fragmentem dziejów Europy Środkowej i Wschodniej, a polska odrębność jest tylko pozorna".

Z tą tezą nieodpowiedzialności narodu polskiego za własne losy i o naszej całkowicie podrzędnej roli w Europie polemizuje Stefan Kieniewicz w tygodniku „Dziś i Jutro" (nr. 21), stwierdzając, że z tego, iż nie wywarliśmy wielkiego wpływu na przebieg ostatniej wojny nie wynika, żeśmy takiego wpływu nigdy w dziejach nie mieli. Jako dowód, że postawa Polaków zaważyła w określony sposób na bieg wypadków światowych Kieniewicz przytacza Insurekcję Kościuszkowską, Powstanie Listopadowe, rok 1920 i Wrzesień 1939.

W ORBICIE ZACHODU

W artykule na temat przeobrażeń cywilizacyjnych S. K. Rostworowski w tygodniku „Dziś i Jutro" (nr. 21) wypowiada się na temat aktualny dziś w Kraju: czy niektóre formy cywilizacji bizantyjskiej odpowiadałyby Polsce.

„Wydaje się nam — czytamy w „Dziś i Jutro" — że odwrócenie się plecami od kultury zachodnio-europejskiej byłoby początkiem końca naszego narodowego bytu. Mamy szanse przetrwać jako naród współczesną wszechmoc państwa, z jego tak obu cesarstwom starożytności podobnym systemem urzędniczym. Przetrwamy, o ile potrafimy ocalić te wolności, które, jak powiedzieliśmy, są jeszcze do ocalenia. W żadnym wypadku zgodzić się nie możemy na poddanie kościoła państwu i na urzędniczenie hierarchii kościelnej i duchowieństwa, co stało się w Bizancjum przed laty..."

Wypowiedź to charakterystyczna wobec zabiegów reżimu oderwania Polski od tradycyjnych więzów z Zachodem i wciągnięcia jej w obręb Wschodu.

TADEUSZ NALER

Mowa była o artystach z prawdziwego zdarzenia

W związku z moją notatką p.t. „W Szkocji sztuka „popłaca" w nr. 4 „Naszego Znaku" — ukazał się w nr 7 artykuł dyskusyjny, podpisany przez „Jednego z artystów-plastyków, X.Y.", w którym (odkładając chwilowo sprawy niezwiązane z meritum, t.j. możliwościami artystów w Szkocji) autor zarzuca mi (po przytoczeniu bardzo mylącego streszczenia mej notatki), że dla podtrzymania ducha rzucam słowa na wiatr co do możliwości plastyków.

Sprawę sprawdziłem powtórnie. W treści wydrukowanej notatki dałem wyraz poglądowi, że trudno jest zarobkować w Szkocji w ogólności — w przeciwstawieniu do pewnych tylko możliwości dla utalentowanych plastyków z prawdziwego zdarzenia. Notatka został. przed wysyłką do druku skorygowana przez jednego z takich właśnie plastyków, którego powodzenie materialne jest prawdopodobnie funkcją talentu. Tytuł mej notatki był może niezbyt szczęśliwie dobrany, ale poza tytułem — nie było żadnych podstaw do przypisywania mi intencji wyrażonych przez p. X. Y., a wprost przeciwnie.

Z przykrością przy tym zauważyłem, że p. X.Y. nie zechciał zadać sobie trudu przeczytania mej notatki dokładnie, ponieważ w innym wypadku nie wystąpiłby z zarzutami „argumentacji mylnej w samym założeniu" — strzelając we mnie 1, 2 i 3-cim punktem swego artykułu dyskusyjnego i tłumacząc, że „ludzie byli na wojnie" — gdy wyraźnie w pierwszych pięciu ustępach mej notatki zacieśniam moje uwagi do g r u p y o s ó b w o l n y c h o d a k t y w n e j s ł u ż b y w o j s k o w e j p r z e z s z e r e g l a t (z drugiej zaś strony — nie dotyczą one artystów w ogólności). Punkty te nie są więc do rzeczy.

Podobnie, jeżeli chodzi o następne. U mnie mowa była osobno o warsztatach pracy przedsiębiorców i osobno o — artystach, nie o przedsiębiorcach i producentach przedmiotów artystycznych i zakładach produkcyjnych tego gatunku, ani też o posadach dla osób z wykształceniem czy zdolnościami artystycznymi. P. X.Y. wyraźnie te rzeczy pomieszał. Lekkomyślnie natomiast zarzuca mi wprowadzanie w błąd, wprowadzając sam całkowicie (mam nadzieję, że nieświadomie) w błąd czytelników co do treści mej notatki.

Stwierdzam, że jeżeli chodzi o przemysł artystyczny produkcja jest prawdopodobnie dla Polaków t[ak] trudna w Szkocji, jak w odniesieniu do każdego innego przemysłu i podobnie (chociaż nieco łatwie[j] niż w odniesieniu do każdej innej „posady"). Natomiast jeżeli chodzi o utalentowanych plastyków — i to wybitnie utalentowanych — sprawa przedstawia się inaczej i jeżeli p. X.Y. zechce ze mną skomunikować się, zaznajomię go z artystą, który ma stałe zamówienia otrzymując za portrety trzycyfrowe sumy. Nie przesadzajmy więc w żadną stronę. Będę wtedy miał też możność poprowadzić go do około 20 zakładów i warsztatów pracy (nie artystycznych) — których „społeczeństwo polskie" w Edynburgu nie zauważyło. (Mam tu pewne zastrzeżenia co do pojęcia „społeczeństwo polskie w Edynburgu" — istnieją tu tylko luźne grupki Polaków, nie powiązane najmniejszą wspólną więzią — od czasu świadomej likwidacji ośrodków łączności).

Jeszcze raz podkreślam — tytuł mojej notatki odnosi się do artystów, nie do przedsiębiorców artystycznych sztuki stosowanej. Ani też do artystów z... rewii szkockiej. Szkoda, że tyle spraw pomieszano.

Edynburg

WŁADYSŁAW LIS

ZAMKNIĘCIE KONKURSU „NASZEGO ZNAKU" NA REPORTAŻ z r. 1947

Zgodnie z warunkami konkursu dnia 1 czerwca 1947 r. upłynął termin wysłania prac.

Jury przystąpiło obecnie do czytania nadesłanych reportaży, co oczywiście będzie wymagało pewnego okresu czasu. W każdym razie postaramy się, aby rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło jeszcze w tym miesiącu.

Równocześnie również zgodnie z warunkami konkursu, zamieścimy wtenczas wykaz prac już drukowanych w „Naszym Znaku" — oraz nazwiska ich autorów, które dopiero wtenczas będą znane.

Prosimy więc uczestników Konkursu przeglądać numery „Naszego Znaku" w tym okresie.

Listy do Redakcji

CZYJA WINA?

W dniu 3. IV. 1947 złożyłem drogą służbową prośbę do Dztwa I. Korpusu o odkomenderowanie na studia do Gimnazjum Kupieckiego, załączając zaświadczenie przyjęcia do tegoż gimnazjum. Równocześnie z powodu cofnięcia funduszy na opłatę za naukę przez ITC byłem skłonny nawet z mojego skromnego żołdu opłacać za naukę, aby móc się tylko uczyć.

Na odpowiedź z Dztwa I. Korpusu czekałem dwa miesiące i nie mogąc się doczekać wysłałem li[st] ponowny, ale z ominięciem drogi służbowej, no i nareszcie otrzymałem odpowiedź, lecz niestety od- odmowną z zaznaczeniem, iż nie mogę być odkomenderowany na studia, gdyż okres przewidziany na studia w PKPR (18 miesięcy) nie pozwoli na ukończenie.

Do PKPR wstąpiłem dopiero w dn. 28 lutego 1947 roku, początkowo nie mając zamiaru w ogóle wstąpić do tego Korpusu, przewidując, iż obietnice dane nam już dawniej nie zostaną dotrzymane — lecz oświadczono mi, że każdy, kto pragnie się uczyć, będzie miał możliwość uczenia się i uzyska w każdym czasie odkomenderowanie. Będąc pewny, iż tym razem obietnice dane nam przez naszych dowódców zostaną dotrzymane — w końcu zapisałem się do PKPR.

Lecz dzisiaj z żalem w sercu muszę stwierdzić, że zaniedbuje się młody element, który pragnie się uczyć, który się rwie do nauki, aby gdy to tylko będzie możliwe — wrócić do wolnej i niepodległej Ojczyzny, stać się pełnowartościowym obywatelem, a wobec Narodu Polskiego móc zdać rachunek sumienia, że nie na próżno pozostał tymczasowo na emigracji i że pragnie odbudować Polskę w duchu prawdziwie demokratycznego Zachodu.

Czy nie byłoby lepiej, gdy tylko jest możliwość uczenia się, uczyć się — chociażby bez nadziei ukończenia całkowitych studiów, aby nie tracić czasu? Dlaczego wszędzie żołnierza odpycha się od nauki?

Dlaczego są głoszone szumne hasła, jak np. „Uczmy się a wrócimy bardziej wartościowi do Polski"? Czy nie lepiej by było głosić prawdę, bez wprowadzania żołnierzy w błąd zaznaczając otwarcie, iż dowódcy potrzebują żołnierzy, aby móc tak długo, jak jeszcze będzie trwać Korpus Przysposobienia — dowodzić, a gdy się skończy — mogą odejść do kopalni albo na farmę? Wtenczas oficerowie oznajmią, że to nie nasza wina, lecz — Anglików.

F.W.

(nazwisko znane Redakcji)

List Kolegi porusza niezmiernie ważną sprawę. Trudności napotykane przez młodzież pragnącą się uczyć są istotnie wielkie i często niespodziewane. Wszyscy Polacy powinni współdziałać w zwalczaniu tych trudności. Konkretną sprawą Kolegi zajęło się Biuro Inf. i Porad SPK.

„LONDON POLES"

W jednym z urzędów powołanych przez rząd brytyjski do załatwiania spraw polskich odbyła się inspekcja.

Inspekcję przeprowadzili urzędnicy — Polacy. Większość doskonale się zna z uprzedniej pracy w tym samym resorcie polskim.

W pokoju nie było ani jednego Anglika. A jednak panowie inspektujący mówili w y ł ą c z n i e p o a n g i e l s k u.

Śmiesznostki ludzkie nie są czasem pozbawione obrzydliwości.

Londyn, dn. 14.VI.1947.

Ś w i a d e k.

(nazwisko znane Redakcji)

DLACZEGO BRAK ODPOWIEDZI?

Dnia 8. XI. 1946 wniosłem drogą służbową przez Kwat. Główn. Grupy Dyw. 3 D.S.K. do Sł. Opieki nad Żoł. Stabu Główn. — prośbę o udzielenie mi zapomogi pieniężnej w celu leczenia ciężko chorej na gruźlicę kości (żebra) mojej żony zamieszkałej w Polsce.

Pomimo upływu w dniu dzisiejszym 7 miesięcy od chwili wniesienia mojej prośby oraz wniesienia w międzyczasie dwóch próśb o przyśpieszenie załatwienia, skierowanych bezpośrednio do Sł. Opieki nad Żoł. Sztabu Główn., i jednej prośby w dn. 8.V.1947 wprost do Pana Inspektora Generalnego PKPR — żadnej odpowiedzi do tychczas nie otrzymałem.

Proszę uprzejmie o zbadanie, gdzie należy, czy żołnierzowi wnoszącemu prośbę z zachowaniem wszelkich wymogów służbowych - należy się odpowiedzieć po 7 miesiącach, czy też nie, tak jak to w tym konkretnym wypadku.

8.VI.1947.

S.W.

(nazwisko znane Redakcji)

Skarga Kolegi jest zupełnie zrozumiała i uzasadniona. Niestety nie jest to odosobniony przypadek. Publikujemy ten list w nadziei, że odpowiednie czynniki wojskowe znajdą w nim zachętę do bardziej sprężystego i ludzkiego traktowania interesantów. Niezależnie od tego BIP naszego Stowarzyszenia zajął się wyświetleniem sprawy Kolegi.

3 PENY NA OTFOŻENIE NOWYCH CHORYZONTUW

Do Wydziału Wydawnictwa Stoważyszenia Polskich Kombatantów.

Tak hciałem Powiadomić panuw rze fszyscy mieszkańce Mojego baraku tudzierz Ja sam byliby bardzo ciekawe i wysłuchać i wielka mamy Hienć żeby wyśli oni w ksiąszkowym te Otczyty Ostatnie Stadium Emigrancji, a przełorzone zostali we Wszystkie jenzyki ełuropejskie.

Ale myślemy reakcja Nieda mu Rzadny Pomocy, utronci Człowieka f pszyszłości, co hce łuniknoć, aby niephneli Nas w Gorsze Połorzenie. Nawet nieda hłopu robotnik i szeregofcy niemorze Powiada otfożyć Nowych Choryzontuw dla fszystkich Pracowników. 60 funtów Szterlinguw za mało.

Za samsona Robote rzołnierze i Podoficerowie musiem pomudz. To je mało dla Człowieka Co hce Wyzdrowić Sfiat. Na większe wynagrodzenie Ja daje 3 Peny i proszę Fszystkich niech dołoszą. Czuwaj.

Helmsley Camp, Yorks.

Damian Kurdziel-Norski

Zabawny ten list otrzymaliśmy w związku z listem ogłoszonym p.t. „Ostatnie stadium emigracji" Nr. 8. „Naszego Znaku". Cieszymy się, że Kolegom dopisuje humor, i dziękujemy za wesołość, która udzieliła się naszej redakcji obdarzając nas dłuższą chwilą zdrowego śmiechu. Proponujemy jednak, aby z „ofiary" Kolegi w wysokości 3 d. nadesłanej w znaczkach — uczynić lepszy użytek i przeznaczyć na Fundusz Szkolnictwa i Oświaty Polskiej na Uchodźstwie. Będzie to najlepsza odpowiedź.

Może inni Koledzy zechcą dołączyć się do zbiórki z tej okazji. Oczywiście na zaproponowany przez nas cel. „Nasz Znak" będzie chętnie prowadził tę zbiórkę na szkolnictwo. Nazwiemy to — „Funtuż Oświaty". Nazwa ta jest całkiem stosowna, ponieważ „funtuż" pochodzi od „funta".

Poczucie wspólnoty

W różnych artykułach — i publikacjach Stowarzyszenia podkreślaliśmy niejednokrotnie, że największa jego doniosłość dla naszego bytowania poza Krajem wystąpi z chwilą, gdy skończy się zbiorowe życie polskie w ramach wojska, obozów i td.

Słuszność naszego poglądu wys[tą]piła już teraz na tle życia Kolegów naszych w Kanadzie. Oddział SPK w Kanadzie pracuje w warunkach trudnych wskutek rozproszenia członków na przestrzeni setek m[il]. Wielu z nich utrzymuje bezpośredni kontakt z centralą Stowarzyszenia w Londynie. Zwracają się oni w sprawach konkretnych, jak potrzeba książki, słownika, pisma polskiego, załatwianie sprawy ich oszczędności i tp. Często jednak listy ich są wyrazem tęsknoty do współżycia z rodakami, potrzebą wypowiedzenia się o bieżących kłopotach i troskach.

Żadne Koło na terenie W. Brytanii a nawet gdzie indziej, gdzie istnieje jeszcze polskie życie zbiorowe, nie dało nam tak wielkiej ilości korespondencji indywidualnej. Stowarzyszenie cieszy się, że mogło Kolegom naszym za Oceanem służyć przyjacielską radą i dodać otuchy.

Z odcinka kanadyjskiego możemy wyciągnąć wnioski o zakresie zadań i roli Stowarzyszenia w stosunku do wielkiej ilości jego członków w przyszłości.

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu:
13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

PRACA DLA DWU PAR MAŁŻEŃSKICH

Mąż byłby zatrudniony jako pomoc domowa oraz opiekowałby się ogródkiem warzywnym przy domu. Żona miałaby zatrudnienie, jako gospodyni z częściowym gotowaniem. Pracodawca ofiaruje mieszkanie i utrzymanie plus po £4.— dla każdej pary. Zgłoszenia: Henryk Kokoszyński, Agricola Paper Pulp Mills, Buxton, Norwich.

UWAGA — ZATRUDNIENI

Biuro Informacji i Porad SPK prosi wszystkich swoich interesantów zatrudnionych za naszym pośrednictwem lub też za pośrednictwem ogłoszeń w „Naszym Znaku" o każdorazowe podawanie do naszej wiadomości o swoim zatrudnieniu. Ułatwia nam to pracę, nie kierujemy bowiem korespondencji o wolnych posadach do już zatrudnionych.

KSIĄŻKA USPRAWNIA PRACĘ

UPRAWA SZCZEGÓŁOWA ROŚLIN GOSPODARSKICH, inż. M. Jałowiecki (Oddz. Szkol. Zaw. Sztabu Główn. Londyn, 1946). Cena 9/6

Każdy rolnik znajdzie w tej książce zasób „złotych" rad i wskazówek ze strony jak najbardziej praktycznej — przy uprawie poszczególnych roślin gospodarskich. Wszechstronne ujęcie i przejrzysty układ ułatwiają korzystanie i pozwalają nazwać tę książkę prawdziwym przyjacielem tak zaawansowanych rolników, jak i tych którzy stawiają na tym polu pracy pierwsze kroki. 42 tablice rysunkowe w tekście.

GOSPODARSKI SAD HANDLOWY. dr Wł. Gorjaczkowski, prof. S.G.G.W. w Warszawie, (przedruk z wydania trzeciego—Londyn, 1946). Cena 6/-

Co rolnik powinien przemyśleć przed założeniem sadu — Zakładanie sadu — Osłony i ogrodzenia — Pielęgnowanie sadu — Zbiór owoców — Przechowywanie owoców —Odmiany handlowe i ich zapylacze. Oto spis zagadnień omówionych w tej książce, a same ich nazwy wskazują, jak bardzo jest godna polecenia każdemu kto zajmuje się lub ma zamiar zająć się sadownictwem. 42 rysunki.

MAŁE STAWY RYBNE i HODOWLA RYB, Tadeusz Zboiński, inż. hydrotechn. (Londyn, 1946). Cena 6/—

Książkę najlepiej charakteryzuje sam autor we wstępie pisząc:

„Praca ta jest przeznaczona dla tych rolników, którzy na swoim gruncie mają niewysychającą wodę. Obojętnie jaką; może to być rzeczułka lub potok, strumyk, źródło lub po prostu rów... O tej wodzie chcę trochę napisać, bo zdaje mi się, że ona może dać rolnikowi więcej niż daje obecnie. Myślę mianowicie o hodowaniu ryb... Chciałbym w tej pracy opisać właśnie, jak to zrobić. Jak rolnik, który ma kilka lub kilkanaście hektarów ziemi, może za niewielką sumę pieniędzy tak urządzić wodę, aby hodować w niej ryby".

I autor opisuje to z wielkim znawstwem i pożytkiem.

* * *

Polscy rybacy w W. Brytanii

Na tle smutnych na ogół wiadomości przychodzących do naszej redakcji z terenu, świadczących o niezmiernie ograniczonym zakresie szkolenia zawodowego, a w niektórych wypadkach o niskim poziomie i złej organizacji kursów, szczególną przyjemność sprawia nam opublikowanie obserwacji porobionych przez jednego z naszych kolegów w czasie pobytu w ośrodku Szkolenia Zawodowego Rybołóstwa Morskiego i Przetworów Rybnych w Aberdeen. Ośrodek ten jest zorganizowany w sposób dający możność nauczenia się w krótkim stosunkowo czasie trudnego i bardzo interesującego zawodu.

Nauka podzielona jest na okres przygotowania teoretycznego, oparty o wykłady i ćwiczenia na terenie Ośrodka i — na praktyki odbywane w przedsiębiorstwach lub na statkach. Szkolenie idzie w następujących kierunkach: pracy na statkach, wyrobu sieci, przetwórstwa rybnego, handlu rybami. Większość kształci się w dziale pierwszym, co jest uzasadnione zarówno zapotrzebowaniem, jak i możliwością osiągnięcia najlepszych warunków materialnych w przyszłości. Ośrodek istnieje już półtora roku, przeszkolił przeszło 200 osób i wychował własną kadrę instruktorów i pomocników. Solidne postawienie całej sprawy jest w dużym stopniu zasługą kierownika ośrodka mjr. J. Płosso.

Płace w Wielkiej Brytanii w wymienionych zawodach są wysokie. Pracownicy firm lądowych opartych o rybołóstwo morskie zarabiają do £9 tygodniowo. Rybacy wykwalifikowani zarabiają na statkach £1 dziennie, w czasie pobytu w porcie 14sh. dziennie. Mają oni poza tym premie zależne od wyników połowów, co pozwala osiągnąć do £50 miesięcznie. Oczywiście wysokie płace mają swoje uzasadnienie w ciężkiej pracy. Dla ludzi silnych fizycznie i lubiących morze praca w rybołóstwie morskim stwarza duże możliwości.

W W. Brytanii występuje często brak marynarzy dla obsługi statków rybackich. Do niedawna związki zawodowe marynarzy-rybaków zajmowały stanowisko niechętne w sprawie zatrudnienia cudzoziemców. Ostatnio udało się osiągnąć zmianę stanowiska i pierwsi rybacy polscy, wychowankowie ośrodka już pływają.

Szkolenie to zwiększa kadry specjalistów polskich z zakresu rybołóstwa morskiego, idzie więc nie tylko po linii potrzeb bezpośrednich, lecz ma jednocześnie znaczenie dla rozwoju tej gałęzi produkcji w przyszłości w Polsce. Ośrodek w Aberdeen powinien prowadzić swoją pożyteczną działalność jak najdłużej.

Zdobywaj wiedzę i wciąż ulepszaj swoją pracę

TYLKO NA UCHO

— Mam świetny pomysł... Tylko trzymaj przy sobie. Wiesz, do jakiego zabieram się przemysłu? Ale tylko w sekrecie... — zwierza mi się mój znajomy. — Otóż podszkolę się i założę pracownię galanterii skórzanej! Wiesz — torebki, paski, rękawiczki itp. Dobra myśl, co?

Co mogłem na to odpowiedzieć?

Nie bój się, drogi przyjacielu, tej koncepcji nikt ci nie zabierze. Po prostu dlatego, że zbyt wielu już ją posiada. Pomysł niewątpliwie jest niezły, ale napewno nienowy. Zapewniam cię, że jeżeli teraz ten interes „pójdzie", to tylko pod warunkiem, że będzie odpowiednio zorganizowany i prowadzony.

A więc przede wszystkim organizacja i jakość pracy, zapewnienie dostaw odpowiedniego surowca, ustalenie zbytu na korzystnych warunkach itp. To jest najważniejsze, tym będziesz mógł wygrywać swoje atuty, a nie nadzwyczajnością pomysłu. Czasem naprawdę nowa i dobra koncepcja robi pieniądze przez sam fakt zrealizowania jej, ale o tym nie ma mowy w tym wypadku.

Był okres wyjątkowo korzystny dla tej branży. Wojenne warunki stwarzały wiele takich przemijających koniunktur. Wszystko jedno, jak się pracowało, dobrze czy źle, byle tylko był towar — o zbyt nie trzeba było się kłopotać. Teraz rynek powraca do normy. Możliwości są zawsze i wszędzie — trzeba jednak zmienić stosunek do interesu.

W Glasgowie znany jest emigrant z Austrii, który ładnie się dorobił na galanterii skórzanej. Przyjechał do W. Brytanii zaledwie dwa lata przed Polakami. On istotnie wpadł na nowy pomysł, by torebki damskie zaczęli robić nie zawodowi rzemieślnicy. I ta koncepcja przyniosła zysk. Koniunktura wojenna dopomogła. Wojna pozbawiła warsztaty wytwórcze fachowców. Towaru było mało. Piękne panie miały jednak nadal swoje wymagania. Wielu rozrzutnych cudzoziemców napłynęło do tego kraju. Za damską torebkę, której koszt własny (bez podatku!) wynosił funta, dostawało się nawet i dziesięć! Trochę „drygu" w palcach, odrobina zmysłu estetycznego i — zarobek gwarantowany.

Pewna ilość niezatrudnionych Polaków dobrze dorabiała sobie tym przemysłem. Ale kto wtedy o to dbał? Poczynania te nie przekształciły się w trwałe przedsiębiorstwa. Nie umiało, czy też nie chciało się przezwyciężać trudności, które stawiały przepisy.

Teraz koniunktura wygląda inaczej. Pewne widoki są jednak zawsze. Polski rzemieślnik wykazuje więcej inwencji w tych rzeczach. A dobry towar zawsze „pójdzie". Trzeba tylko dokładniej kalkulować, włożyć pewien wysiłek. Ale próbować należy!

A ja wam powiem w sekrecie, że znam takich, którzy przystępują do produkcji tych artykułów na eksport, aby wykorzystać ulgi eksportowe. Ale niech to zostanie między nami — cicho, sza... nie mówcie o tym nikomu!

ZEN

Redaguje: Wydział prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20. Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.

NASZ SPK ZNAK
STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
ROK I 5 LIPCA 1947 Nr. 12

O właściwą drogę do celów SPK

Istotą działania w stronnictwie politycznym czy stowarzyszeniu o charakterze politycznym jest działanie władz naczelnych, skierowane raczej na zewnątrz dla wywalczenia nowych przywilejów i uprawnień, oraz dla ich obrony po uzyskaniu.

W Stowarzyszeniu naszym jako związku społecznym o charakterze samopomocowym, główny nacisk winien być położony na pracę na terenie Kół. U góry, na terenie władz naczelnych, winny być wypracowane cele, zadania, metody i środki tej pracy, oraz przygotowani ludzie do pokierowania tą pracą, natomiast praca, stanowiąca istotę s a m o p o m o c y, winna być przeprowadzona na terenie Kół, gdzie bezpośrednio odbywa się zaspokojenie duchowych i materialnych potrzeb członków, czyli realizacja Statutem określonego celu.

Nie znaczy to, by Stowarzyszenie w swoich zadaniach nie miało pracy na zewnątrz. Jest ona niezbędna dla nawiązania kontaktów i podtrzymywania współpracy ze stowarzyszeniami o pokrewnych celach, oraz z władzami, których pomoc dla przeprowadzenia statutowego celu jest niezbędna. Ta praca na zewnątrz Stowarzyszenia nie powinna być jednak traktowana jako zasadnicza, gdyż realizacja celu statutowego odbywa się nie na zewnątrz, lecz wewnątrz Stowarzyszenia.

Obserwując dotychczasową pracę na terenie SPK odnosi się wrażenie, że obrany został fałszywy kierunek głównego jej wysiłku, skierowanego na osiągnięcie celu drugorzędnego, o charakterze pomocniczym, zamiast celu głównego.

W bezprzecznie dużym i planowym wysiłku organizacyjnym, zapomniano o najistotniejszej społecznej pracy na terenie Stowarzyszenia. Gdyby czas pozwalał na rozkładanie pracy na etapy powoli realizowane, ta jej kolejność byłaby do przyjęcia. Obecna jednak sytuacja zmusza nas do jak najintensywniejszej pracy równocześnie na wszystkich kierunkach, a przede wszystkim na kierunkach najważniejszych.

Tak możność rozwoju Stowarzyszenia, jak realizacja Statutem określonego celu, zależą ściśle od stopnia uspołecznienia członków i nasilenia ich współpracy na terenie Kół. Formą działania Kół winna być szeroko pojęta praca społeczna, mająca na celu zaspokojenie duchowych i materialnych potrzeb członków.

Praca ta została jednak wybitnie zaniedbana i w tym właśnie tkwi główne źródło dzisiejszej bierności apatii na terenie Kół, braku silniejszego zespolenia członków ze Stowarzyszeniem i wiary w skuteczność jego działania dla dobra ogółu członków. Winą naczelnych władz Stowarzyszenia jest, że nie potrafiły dla pracy tej wytknąć jasnych i wyraźnych dróg w formie ustalenia zadań, metod i środków, or przygotować ludzi do pokierowania tą pracą na terenie Kół.

Biorąc pod uwagę teren oddziałów wojskowych jako bardzo trudny dla pracy społecznej, między innymi i względu na brak zrozumienia potrzeby tej pracy ze strony wielu dowódców, jak również i braku ludzi przygotowanych do poprowadzenia tej pracy, nie należało pozostawiać Kół samym sobie. Należało im udzielić jak najszerszej pomocy w tej dziedzinie pracy i należycie nią pokierować.

Wiara w słuszność celu i w możliwość jego urzeczywistnienia nie da się zaszczepić deklaracjami ideowymi, czy pisemnymi oświadczeniami. Wzbudzić ją i utrwalić może tylko pozytywna praca społeczna na terenie Kół, przynosząca konkretne korzyści członkom w formie zaspokojenia ich potrzeb duchowych i materialnych.

Brak tej wiary u szerokiego ogółu członków stanowi dzisiaj poważne niebezpieczeństwo dla w znacznym stopniu sztucznej budowli naszego Stowarzyszenia. Niebezpieczeństwo to jest naprawdę duże w obecnym krytycznym dla Stowarzyszenia okresie przechodzenia z organizacji oddziałowej (wojskowej) na terenową (cywilną).

Obecnie, w okresie ustalenia programu pracy na terenie Stowarzyszenia na nowy okres w związku z II. Walnym Zjazdem Delegatów czynniki odpowiedzialne za dalszy rozwój tego, tak ważnego dla wojennej emigracji Stowarzyszenia, winny sobie jasno uprzytomnić, że główny wysiłek tej pracy, skierowany być musi na społeczną pracę na terenie Kół, dla ich zespolenia ze Stowarzyszeniem, uspołecznienia i poderwania do pracy nad realizacją jego celów.

Wypracowane być winny dokładne wytyczne tej pracy na wszystkich szczeblach Stowarzyszenia, a głównie na terenie Kół, przez ustalenie celów, zadań, metod i środków działania. Ustalenie zasad ścisłej współpracy z organami Służby Opieki nad Żołnierzem i pokrewnymi stowarzyszeniami, oraz należyte rozwinięcie tej współpracy, mogłoby wybitnie podnieść wyniki pracy. Przewidzieć należało by organizację kierownictwa tą pracą na wszystkich szczeblach organizacyjnych Stowarzyszenia, jak również przygotowanie odpowiedniej ilości ludzi do należytego nią pokierowania.

Silna podbudowa fundamentów w tej formie pod gmach SPK jest niezbędna, jeżeli mają one być podstawą dalszej jego rozbudowy i jeżeli gmach ten ma wytrzymać wstrząsy, które w przyszłości niewątpliwie go czekają.

Arbroath, Szkocja.

WŁADYSŁAW CZOCH

*) Część I tego artykułu ukazała się w poprz. (11) nr. „Naszego Znaku".

PROBLEM ŁOPATY

(Artykuł dyskusyjny)

Artykuł pt. „Chcę pracować", podpisany inicjałami J. L. M. (nr 3 „Naszego Znaku") znalazł oddźwięk w artykule „Mam wątpliwości" napisanym przez K. Kl. (nr 7). Z kolei ten artykuł skłonił szereg naszych czytelników do zabrania głosu na łamach naszego pisma. W ten sposób wywiązała się ożywiona dyskusja na tak ważny temat, jakim jest sprawa zatrudnienia inteligencji polskiej w W. Brytanii. Poniżej zamieszczamy jeszcze jeden głos w tej sprawie. Brak miejsca zmusił nas do wprowadzenia daleko idących skrótów. Staraliśmy się jednak nie wypaczyć zasadniczej myśli autora.

Na tym kończymy dyskusję, a w następnym numerze zamieścimy omówienie wypowiedzi Czytelników oraz nasz pogląd w tej doniosłej sprawie.

Pan K. Kl. ma wątpliwości, czy jako jednemu z tych, „którzy po 18—20 lat swego życia strawili na nabywaniu wiedzy w szeregu zakładów naukowych, którzy w studia włożyli masę energii i pieniędzy i na których wykształcenie państwo polskie wyłożyło jeszcze większe pieniądze" — wolno mu teraz imać się łopaty bez obawy zaprzepaszczenia tego, „co tak drogo kiedyś kosztowało". Wydaje mu się, że pójście do pracy np. na roli, byłoby z jego strony „jakimś nierozsądnym wykroczeniem przeciw temu co biedne społeczeństwo polskie włożyło w moje (t.zw.p.K.Kl.) wykształcenie".

Do wypowiedzi p. K. Kl. na temat dręczących go obaw, pragnę wprowadzić czynnik, którego dalszy brak w tych wypowiedziach byłby poważnym przeoczeniem — mianowicie czynnik czasu. W dwu jego formach: przeszłej i przyszłej. Aby być lepiej zrozumianym, powiem, że dla wielu, dla większości nas pojawiła się ona w 1939—41 r. Dwie wizje: katorżniczej łopaty i lufy karabinu lub pistoletu zwróconej w naszą stronę.

Klęska łopaty jest obecnie wizją wtórną tysięcy ludzi, nie tylko samej inteligencji. Bo rolnik budujący piędź po piędzi i węgieł po węgle swą gospodarkę, rzemieślnik wprowadzający i wznoszący latami swój warsztat, kupiec, który wszystko posiadane włożył w swój interes — oni wszyscy ją już raz przeżyli. Spadła ona na nich nie wskutek własnego „nierozsądnego wykroczenia", lecz cudzej rozmyślnej zbrodni. Oni się nie staczali po równi pochyłej — zostali strąceni, a upadek był gwałtowny, jak grom. Nastąpił w chwili podpalenia gospodarki, wyrzucenia z warsztatu na bruk i rekwizycji interesu. Upadki ich były o tyle łagodniejsze, że nie obciążane dodatkowo tytułem inteligenta. Ale koszta też przy nich przepadły. Nieraz bardzo wysokie, płacono latami. Razem z wyrzuceniem tamtych z fabryki, gospodarki, warsztatu, sklepu waliły się urzędy, pracownie, gabinety — odbywało się to razem, wspólnie, w towarzystwie.

Czy komuś z rzeszy inteligenckiej w dzisiejszych rozterkach nie będzie pewną ulgą przypomnienie, że wielu z tej rzeszy tylko dlatego przetrwało swą pierwszą łopatę, ponieważ los umieścił ich wśród tamtej nieinteligenckiej rzeszy? A przecież nie tylko cel się nie zmienił — towarzystwo również jest to samo. Jakiekolwiek ono było, w każdym razie — wypróbowane. O towarzystwie warto pamiętać, jeśli już nie dla niego samego, to choćby dlatego, że im większa gromada, tym mniejsze nieszczęście.

Pozostaje na emigracji ten, kto pozostać musi lub ten, kto pozostać chce. Przymus nie uznaje dyskusji, choć rodzi bunt i walkę. Wszystko cokolwiek wynika z przymusu jest ponure. Wybór wiedzie nas czasem przez przykrość. Zbliżający się cień łopaty jest dla nielicznych ponury, dla większości przykry, zguby jednak z pewnością nie przyniesie. Bo czy w tym krótszym lub dłuższym, ale tylko przejściowym schyleniu do łopaty, jest stoczenie się i upadek — czy zubożenie chwilowe? Czy inteligent parający się przez, powiedzmy pięć lat pilnikiem, kilofem lub łopatą zdeklasuje się nieodwołalnie, wyszasta swą wiedzę i wyniszczy intelekt — czy też nie? Nie! nie powinien. Ale wszystko zależy od tego, jaki jest kościec moralny owego *in spe* łopaciarza. Łopaciarza, który się do łopaty nie zniżył, a tylko schylił.

Znałem kiedyś studenta filozofii, pracującego w nocnej zmianie przy brukowaniu ulic, studenta medycyny, będącego nocnym stróżem w parku miejskim, magistra prawa, dla którego, wraz z jego żoną, studentką filozofii, głównym źródłem utrzymania obok korepetycji była „posada" gońca do roznoszenia nakazów płatniczych w jednym z urzędów skarbowych. Kto zresztą takich nie znał. Nie zatracili właściwego oblicza, nie stoczyli się po równi pochyłej i jeśli ich praca miała w sobie znamię „nierozsądnego wykroczenia" — to nie z ich strony napewno. Pierwszy wykładał później matematykę w doskonałym, prowadzonym przez księży, gimnazjum. Drugi był lekarzem powiatowym na Podkarpaciu. Trzeci otrzymał z czasem niezłe stanowisko w biurze prawnym naszego najbogatszego koncernu kopalniano-hutniczego.

Kto w sposób godziwy może łopaty uniknąć, niech się jej nie ima. Dla takiego, komu warunki fizyczne na nią nie pozwalają, musi się znaleźć i znajdzie się napewno inne rozwiązanie. Ale kurczowo czepiać się biurka, wisieć przy nim, wciskać się zań, nie warto, chyba i jakoś niezbyt ładnie. Nikłe są szanse zwycięstwa w walce przeciw „obdarzaniu" nas łopatą, ale nad łopatą samą — duże. Dlatego pełne wykorzystanie kapitału wiedzy, nabytego w ciągu 18—20 lat, należy odroczyć do czasu zwycięstwa nad tą wtórną łopatą, a w czasie walki brać gdzie się da — choćby maleńkie procenty.

Komu ciąży troska, by nie nadużył zaufania biednego społeczeństwa, kto ten kapitał ma obciążony, ten spłacić go może przy łopacie, i to od dziś nawet. Dziesięciu pracujących łopatą nieinteligentów z radością powita w swym gronie jednego inteligenta. Nie rezonera lub prowodyra, ale taktownego doradcę. Z rzetelnym charakterem i z rzetelną wiedzą. Takiego, który by im czasem powiedział, jak zrozumieć otrzymany list i jak na niego odpisać, co warto przeczytać, a czego czytać nie warto, która rozgrywka jest dobra i co zrobić z urlopem, jaką organizację popierać, wykorzystywać, który kolor jest biały, choć ma czerwone refleksy, a który czerwony, choć biel markuje. Sposobów na spłatę, a więc i uniknięcie trosk równocześnie, byłoby z pewnością więcej.

Rozwiązanie problemu łopaty przez schylenie się do niej nie wydaje się być rozwiązaniem zgubnym. W taki sposób będzie go najprawdopodobniej rozwiązywać większość polskiej inteligencji w W. Brytanii. Ale to nie znaczy, że się w nim zatraci jej inteligencka indywidualność. Trzeba usilnie pamiętać o tym, że przede wszystkim jest się człowiekiem. Jeśli inteligent nie zagubi przy łopacie człowieka, to człowiek uratuje zagrożonego inteligenta.

Kingwood, Henley on Thames.

R. M.
(nazwisko znane redakcji)

Jestem housekeeperem

Przeglądając gazetę, znalazłem ogłoszenie, które mnie zainteresowało. Poszukuje się dwóch przyjaciół, jednego do pracy w ogrodzie a drugiego — jako kucharza.

Chodziłem zawsze sam i milczkiem, dlatego też sądziłem, że tych dwóch przyjaciół może się zmieścić w mojej jednej osobie. Propozycja została przyjęta. Po roku, kiedy odchodzę z tego miejsca, postaram się zebrać moje spostrzeżenia i uwagi na temat warunków tego rodzaju pracy.

Uzyskałem następującą umowę: £6 miesięcznie, utrzymanie i mieszkanie, które składało się z dwóch pokoi i łazienki. Poza tym miałem zapewnioną używalność kuchni, światło i opał na koszt gospodarzy domu. Dom znajdował się w dobrej dzielnicy Londynu.

Moje obowiązki przedstawiały się następująco. Z rana przygotować śniadanie dla trzech osób: gospodarze schodzili do jadalni, a ich gość — przyjaciel miał mieć śniadanie podane do łóżka. Musiałem również przygotować obiad i kolację na dwie osoby. Czasem miał jadać również gość, co nie było dokładnie określone. Dwa razy w tygodniu — większe przyjęcia (wymiana zdań o sztuce, a dla mnie mycie garnków). Jeden dzień w tygodniu — to mój wychodne i wtenczas gotuje sama pani domu. Ponadto należała do mnie praca w ogrodzie i trzy razy dziennie karmienie kur. Po pół roku dostałem podwyżkę do £8 miesięcznie.

Po wprowadzeniu się do mojej nowej rezydencji zabrałem się z zapałem do porządkowania ogrodu, który przypominał dżunglę. Poprzedni właściciel tego domu był chyba kolekcjonerem kamieni, ale miał to być niby ogród holenderski. Tafle płyty, schody i schodki — wszystko to rąbałem kilofem. Taczki trzeszczały i pot lał się ze mnie ciurkiem, ale wreszcie uporałem się z tym gruzem. Za uporządkowanie ogrodu otrzymałem extra £15. Byłem zadowolony z siebie. Początek pracy zapowiadał się nieźle.

Teraz mam nauczkę: umowę należy zawierać szczegółowiej. Jeżeli pracujesz dobrze, to wciąż więcej od ciebie żądają, i nie ma mowy o dodatkowym wynagrodzeniu. To jest czysto ludzkie.

Kiedy chce się żyć życiem towarzyskim, musi się przyjmować gości. Nieraz były tygodnie, kiedy nosiłem po pięć tac ze śniadaniami do łóżek. Skutek tego był taki, że gromadziły się stosy naczyń do mycia — Anglicy lubują się w używaniu masy noży, widelców, talerzy, spodeczków itd. Na obiady i kolacje zawsze zjawiało się parę osób więc. Talerze, na których podawałem kolację, musiały być gorące i przykryte drugim talerzem, aby jedzenie nie ostygło. Nieraz musiałem przygotować zimną kolację na godzinę jedenastą wieczorem. Mycie pożerało czas — zacząłem zniechęcać się do mojej pracy. Wreszcie dostałem do pomocy młodego Polaka, który mył naczynia i czyścił łazienki.

Moja młoda gospodyni nie była Angielką, reprezentowała natomiast dziwną mieszaninę krwi węgierskiej, niemieckiej i żydowskiej. Kultura angielska miała dla niej wielką siłę atrakcyjną. Mąż jej — rasowy Anglik był krytykiem teatralnym. Oboje nie grzeszyli brakiem snobizmu. Moim błędem było to, że nie umiałem pokryć pewnej irytacji z tego powodu. A przecież te sprawy w tych warunkach powinny być dla mnie obojętne.

Moi gospodarze prowadzili wygodny tryb życia. Śniadanie o godzinie dziewiątej lub później, następnie pan domu oddawał się swojej muzie. Czasem pracę przerywano melodią Mozarta lub Bacha z płyt gramofonowych — zależnie od nastroju. Po obiedzie drzemka do herbaty. Popołudnie zapełniają intelektualne rozmówki. Czasem w rozkładzie dnia jest teatr lub koncert. Jasność myśli podtrzymuje w miarę używany likier czy *brandy*. Tak wygląda rozkład zajęć moich pracodawców, którym życie — jak widzimy — nie sprawia zbytnich trudności.

Wiedzieli, że posiadam uniwersyteckie wykształcenie, więc zapewnili mnie z góry, że nie będę traktowany jako służący. To jest dla mnie kwestia nieistotna. Napiwki brałem, dziękując z uśmiechem w myśl zasady jednego z cezarów rzymskich: *"pecunia non olet"*. Błędem zasadniczym, który napewno popełnia wielu z nas, jest to, że lubimy wdawać się w dyskusje polityczne i krytykę życia oraz stosunków panujących na Wyspie.

Jak mnie znajomi Anglicy uświadomili, praca moja była wykorzystywana, ponieważ według umowy i zwyczaju nie miałem jako kucharz chodzić po zakupy i wystawać w ogonkach. Zobowiązała się do tego pani domu, ale w wykonywaniu przeszkadzał jej opisany tryb życia.

Sprawy pieniężne są zazwyczaj drażliwe. Zburzyłem np. werandę, za co według umowy miałem dostać £5 — przedsiębiorca budowlany w swoim kosztorysie ocenił tę rozbiórkę na £24. Jakoś zapomniano o tym wynagrodzeniu.

Pieniądze za rozbiórkę werandy przez długi czas nie mogły się zrealizować. Co do płatnego wypoczynku (dwutygodniowy urlop i *"days-off"* za roczny okres czasu — niewykorzystane przeze mnie) — to nie doszło do porozumienia, ponieważ pani domu twierdziła, że mój pobyt za granicą wytworzył dla mnie warunki, które według niej miały zastąpić mój odpoczynek. Nie jest to zgodne z prawem zwyczajowym, ponieważ przez cały czas ponosiłem odpowiedzialność za cały dom, a więc byłem związany z miejscem pracy i samą pracą. Co do sumy z tego tytułu, to rozchodziło się o £.

Konflikt ten doprowadził do ostrej wymiany słów. Gospodyni powiedziała mi, że jestem impertymentem, ja nie pozostałem dłużny i wyspowiadałem się przed nią z tego, co o niej w rzeczywistości myślę. Zapewne w tej całej historii nie byłem również bez grzechu.

Przez rok pracy nabrałem doświadczenia. Tak np. dowiedziałem się od Anglików, że w umawianiu się o pracę tego rodzaju prawo zwyczajowe wymaga dokładnego określenia granic obowiązków, tzn. jakie czynności konkretnie mają wchodzić w zakres gospodarstwa, a więc gotowanie, czyszczenie, praca w ogrodzie itp. To chroni pracownika służby domowej od świadomej lub podświadomej dążności ze strony gospodarzy obarczania go dodatkowymi obowiązkami.

Oczywiście dużo w tym zależy od ułożenia się stosunków między gospodarzem a pracownikiem, ponieważ mogą wytworzyć się do tego stopnia zażyłe i przyjacielskie stosunki, że dodatkowe świadczenia będą wynikiem wzajemnej życzliwości — tak z jednej strony, jak i drugiej.

Niestety w moim wypadku takie stosunki nie wytworzyły się i nie miałem wyraźnie określonej granicy mojej pracy — to było źródłem nieporozumienia i zatargów.

Szukam nowej pracy. Czytelników poinformuję o dalszych moich doświadczeniach emigranta.

Londyn, w czerwcu.

JAN GÓRALSKI

CZERWCOWE ZAKLĘCIA

Już kwitną dzikie róże
I kwitnie łubin.
A ja się w tobie durzę,
Choć mnie nie lubisz.

Klomb wybuchł nasturcjami.
Nad klombem jaśmin.
Uśmiechnij się czasami,
Będzie mi jaśniej.

Łan kwieciem się zczerwienił,
Zmierzch pachnie miętą.
Gdy zechcesz, to przemienisz
Dzień zwykły w święto.

Pomyśl, że jednak czasem
Uwierzyć warto.
Widzisz lato za pasem.
Nie bądź upartą...

Uśmiech mi daj majowy
I dobre słowo.
Oddam ci wiersz czerwcowy
Z straconą głową.

MIECZYSŁAW SERWACKI

Praca jest obecną formą walki

Prezydent wie...

W styczniu 1942, po wejściu Stanów Zjednoczonych Ameryki w wojnę, ogłoszono i rozgłoszono z Waszyngtonu orędzie Prezydenta Roosevelta o Polsce i do Polski, którego nagłówek brzmiał:

— Prezydent wie...

Orędzie to, urzędowo też doręczone Rządowi Polskiemu w Londynie przez Ambasadora Stanów Zjednoczonych Ameryki p. Drexel Biddle'a, głosiło, iż Prezydent wi dokładnie, co się dzieje w Polsce jakie są zbrodnie niemieckie i jaki opór polski, oraz zapowiadało Polsce wolność i sprawiedliwość.

Świadomość, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zawsze dalekich i zawsze zaprzątniętych bezmiarem spraw własnych i natłokiem spraw światowych, wiadomo jednak jaki jest los i jakie są prawa Polski, a zwłaszcza, że zna je i głosi to sternik ich polityki, nie mogła być obojętna.

*

Obecnie Prezydent Truman również wie.

Podpisując 14.6.47 układy pokojowe z Rumunią, Bułgarią i Węgrami, Prezydent Truman oświadczył, że czyni to dlatego, iż układy te potrzebne są narodom tych państw i mogą przyczynić się do poprawy ich losu, ale jednocześnie zastrzegł się niezwykle dobitnie przeciw ich rządom, działającym pod nadzorem i naciskiem Rosji:

„Uważam za swój obowiązek — mówił — jawnie i otwarte wyrażenie żalu, iż rządy tych krajów nie tylko nie troszczyły się o wolę większości ich narodów, lecz uciekły się do stosowania wobec nich ucisku. Po uwolnieniu tych narodów spod jarzma nacjonal-socjalistycznego, oraz po postanowieniach trzech sprzymierzeńców w Jałcie, żywiłem nadzieję, że powstaną tam rządy naprawdę będące przedstawicielstwem ludności. Lecz takich rządów nie ma dziś w tych krajach".

Wiadomo — a wiadomo z bezpośrednich również oświadczeń Prezydenta Trumana — że tak samo jak narzucone rządy w Rumunii, Bułgarii i Węgrzech, ocenia też, nawet dobitniej i ostrzej, rządy narzucone przez Rosję Polsce, która w czasie wojny nie była związana z Niemcami, lecz walczyła po stronie Narodów Zjednoczonych.

W odpowiedzi bowiem na pismo p. Bliss Lane'a z 21.3.47, zgłaszające ustąpienie ze stanowiska ambasadora w Warszawie, wobec bezwstydnego, jak powiedział, lekceważenia przez rządzących w Polsce zobowiązań na rzecz wolności obywatelskiej, Prezydent Truman w piśmie z 27.3.47 potwierdził tę ocenę jako słuszną.

Również wobec rządu Tito w Jugosławii zajęły Stany Zjednoczone Ameryki stanowisko potępiające, w wielokrotnych oświadczeniach i zatargach, tak dalece, że nawet zawiadamiając 19.4.46 o uznaniu tego rządu, dodały zastrzeżenie, iż nie mieści to w sobie uznania jego działalności politycznej w kraju przeciwnej zobowiązaniom.

Więc to, co Prezydent Truman wie, wie o wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej pod jarzmem Rosji.

Nazajutrz po oświadczeniu Prezydenta Trumana przy podpisaniu układów pokojowych, podsekretarz stanu spraw zagranicznych p. Dean Acheson, w przemówieniu w Middletown, Connecticut, 15.6.47, objaśniając politykę Prezydenta Trumana, jako wcale nie wyzywającą wobec Rosji lecz odporną wobec wyzywającej polityki Rosji, uwydatnił, że odnosi się to do całej Europy Środkowo-Wschodniej;

„W Europie Wschodniej — powiedział p. Dean Acheson — wbrew sprzeciwom Ameryki i Wielkiej Brytanii, Związek Sowiecki wyzyskał swe górujące stanowisko wojskowe na rzecz jednostronnej polityki, przeciwnej porozumieniu w Jałcie, pozbawiając te narody swobodnego stanowienia o swym losie... Co ważniejsza, komunistyczne rządy mniejszości, narzucone tym narodom, działały w duchu odcięcia ich gospodarczego od wspólnoty europejskiej, tłumienia ich wytwórczości i przykuwania ich stosunkami gospodarczymi wyłącznie do Sowietów... Wielki obszar na wschód od linii Szczecin — Triest, który tak był ważny dla gospodarki europejskiej Hitlera, jest teraz grabiony, rozstrajany i odcinany od Europy Zachodniej".

To wszystko wie Prezydent.

* * *

Straszliwym podeptaniem prawa — *terrible outrage* — nazwał Prezydent Truman, już w pierwszym swym oświadczeniu z 5.6.47 o zamachu na Węgrzech, to co tam ostatnio wolą i ręką Rosji zrobiono, a p. Dean Acheson w swym określeniu z 15.6.47, że jest to bezwstydny i jawny zamach stanu — *a cynical and barefaced coup d' eta* — nie osłabił tego sądu.

Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki w nocie z 7.6.47, skierowanej do jen. Swirodowa, rosyjskiego członka i przewodniczącego Sojuszniczej Komisji Nadzorczej w Budapeszcie, a Rząd Brytyjski w zwróceniu się ambasadora w Moskwie Sir Maurice Peterson'a do p. Mołotowa 9.6.47, zażądały wyjaśnień jako wstępu do przywrócenia prawnego stanu rzeczy.

Mimo jaskrawości gwałtu na Węgrzech, czy też może właśnie jakby w zgodzie i w dalszym ciągu tej jaskrawości, odpowiedzi rosyjskie zarówno Stanom Zjednoczonym Ameryki, jak Wielkiej Brytanii przybrały wyraz bezprzykładnie potwornych naigrawań się.

Jen. Swiridow, po wstępnych kpinach, że nie może udzielić przedstawicielowi Stanów Zjednoczonych Ameryki odpisu swych zwróceń się do Rządu Węgierskiego w sprawie t.zw. spisku u. Nagy'go, oświadczył w swej odpowiedzi pisemnej:

„Nie mogę się zgodzić na ustanowienie komisji trzech Mocarstw celem zbadania stanu rzeczy na Węgrzech, sądząc, że byłoby to wkroczeniem w sposób nie do wybaczenia w sprawy węgierskie".

P. Mołotow, po jakimś zachowaniu się wobec Ambasadora Brytyjskiego, w chwili gdy składał on swe żądanie wyjaśnień, tak nieprawdopodobnym, że tylko głuche szepty krążą o tym po świecie, mówi w pisemnej odpowiedzi:

„Wystąpienie Rządu Brytyjskiego oznaczałoby nic innego jak nową próbę wkraczania w wewnętrzne sprawy Węgier i musi być uważane za chęć narzucania Węgrom woli niektórych Rządów obcych.

Czy można, w jawnie urągliwym odwracaniu rzeczywistości — (Rosja po swym zamachu na Węgrzech zarzuca Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii chęć wkraczania w ich sprawy wewnętrzne!) — posunąć się dalej w wyzywających kpinach?

By nie było wątpliwości, że Kreml chce urągać do syta i jawnie wobec całego świata, a zwłaszcza urządzić sobie z tego pouczającą zabawę w Rosji i na Węgrzech, dnia 15.6.47 ogłoszono te kpiące odpowiedzi w Moskwie i Budapeszcie.

* * *

Dzisiaj ani Stany Zjednoczone Ameryki, ani Wielka Brytania nie mogą już... zasłaniać się żelazną zasłoną od Szczecina po Triest, jak mówił p. Acheson.

Prezydent wie...

Wie, że w Europie Środkowo-Wschodniej, ile zasięgu najazdu rosyjskiego, tyle niewoli, wbrew wielkim przyrzeczeniom i zobowiązaniom Narodów Zjednoczonych o t.zw. Europie Wyzwolonej.

Wie, że z niewolą, która ma w dziesięciu krajach tego obszaru utrwalić władanie Rosji, łączy się ustawiczne kłamstwo w niebywałych rozmiarach, osłaniające rzeczywistość zaboru pozorami jakichś niby własnych rządów tych krajów.

Wie, że z niewolą i kłamstwem, gdy podniesie się przeciw nim głos Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, które zgoła co innego krajom tym przyrzekały wiążą się jeszcze urągliwe kpiny Rosji.

Prezydent wie...

Świadomość, już nie ukrywana, bywa pierwszą podnietą... woli, o ile się nie wybierze... niewoli ulegania.

STANISŁAW STROŃSKI

Takie jest prawo angielskie

Poker i poole — pieski i koniki

W. Brytania jest jedynym w świecie krajem, który oficjalnie nie uznaje jakiegokolwiek hazardu, a więc gry, której wynik zależny jest całkowicie od przypadku. Co? Hazard w Anglii zakazany? Przecież powszechnie jest wiadomo, że z górą 20 milionów Brytyjczyków (plus około trzy czwarte osiadłych na tej wyspie Polonusów) bierze udział w rozmaitych poolach footballowych, totalizatorach końskich i psich czy bokserskich. Jak to więc możliwe, aby przy istnieniu licznych ustaw antyhazardowych — właśnie hazard był jednym z siedmiu największych przemysłów brytyjskich zarówno liczbą zatrudnionych w nim pracowników, jak i zaangażowanymi finansami. Posłuchajmy więc co mówi prawo.

Prawo angielskie rozróżnia cztery zasadnicze formy hazardu: „*gaming*" (karty i kostki), „*wagering*" (zakłady wszelkiego rodzaju i gra na giełdzie), „*betting*" (zakłady co do wyników sportowych) oraz „*lottery*" (nasza loteria — o przyznaniu nagrody nie decyduje umiejętność lub zręczność lecz czysty traf). Liczne ustawy jak „*The Gaming Act*", „*The Street Betting Act*", „*The Ready-Money Football Betting Act*" i i. mówią, że pewne gry są niedozwolone (*unlawful*), że jest przestępstwem, a w pewnych warunkach i zbrodnią prowadzić domy gry, robić lub przyjmować zakłady na ulicach lub w miejscach publicznych oraz — najważniejsze z punktu widzenia grających — że pretensje z tytułu gry hazardowej nie mogą być zaspokojone na drodze sądowej (*not to be recoverable in Courts of Justice*).

Należy tu podnieść, iż zakładanie się (*betting*) nie jest przestępstwem, a tym mniej zbrodnią. Nie ma nic sprzecznego z prawem w przyjmowaniu lub wypłacaniu pieniędzy za przegrany zakład. „Prawo nie asystuje — jak wyraził się sędzia — żadnej ze stron przy popełnianiu przez nią szaleństwa, lecz zakaz dotrzymania słowa przez przegrywającego, to zupełnie inna sprawa". Państwo brytyjskie, a raczej skarb państwowy, ze względów moralnych, społecznych czy innych nie uczestniczy w zyskach, płynących z hazardu, ale równocześnie odmawia jakiejkolwiek pomocy prawnej w zatargu między stronami, przyjmując, że żadna ze stron nie padła ofiarą oszukańczej gry drugiej (*cheating at games, races* etc.), bo wówczas sprawa miałaby posmak kryminalny, wyłudzenia pieniędzy pod fałszywym pretekstem (*obtaining of money by a false pretence*), za co dostaje się ciężkie roboty (*hard labour*) przez kilka miesięcy. Zakład staje się przestępstem dopiero wtedy, gdy sposób zrobienia go i miejsce są sprzeczne z ustawą.

Gra na *poolach* footballowych lub na totalizatorze za pośrednictwem *bookmakerów* może odbywać się tylko na kredyt. Umowy ustne lub pisemne w sprawie zakładów są nieważne (*null and void*). Dług jest honorowy na podstawie „*gentleman's agreement*". Jeżeli czek został wystawiony jako zapłata za dług z tytułu gry, wystawca może wstrzymać wypłatę bez skutków sądowych dla siebie, albowiem transakcja od początku była nieważna. Jeżeli czek przeszedł do osoby trzeciej, to może ona domagać się zapłaty od wystawcy gdy udowodni, że przyjęła czek w dobrej wierze i nie wiedziała, że wystawiony został z tytułu gry.

Wydawało by się, że interes bookmakerski jest hazardem w samym sobie. Jednak tak nie jest i *bookmakerom* powodzi się doskonale. Dlaczego? Bo Anglicy w olbrzymiej większości są dżentelmenami bez względu na klasę społeczną, i płacą długi zakładowe i to z własnej kieszeni, nie koniecznie z kasy pryncypała lub biura, którego się jest szefem, a co dość często się zdarza wśród bliżej nam znanych społeczeństw.

Z drugiej strony *bookmakerzy* mają pewne sposoby moralnego zmuszenia niehonorowego dłużnika do zapłaty. Najpewniejszym sposobem, naturalnie na Anglików, jest groźba doniesienia do „*Tattersall'u*" (słynne centrum w sprawach wyścigowych w Londynie) o niewywiązaniu się z zobowiązania, gość taki znalazłby się na czarnej liście i żaden szanujący się *bookmaker* nie przyjąłby od niego zakładu. Zazwyczaj dłużnik skłonny jest do zawarcia umowy, zobowiązującej go do zapłacenia należnej kwoty (nie podaje się z jakiego tytułu) pod warunkiem, i doniesienie nie zostanie zrobione. Obie strony są zadowolone: *bookmaker*, bo otrzyma pieniądze gracz, bo może się w dalszym ciąg zgrywać i marzyć o fortunie.

No, ale gdyby nie zapłacił? Sprawa byłaby całkiem prosta, skarga sądowa i gość przegrywa, albowiem nie mógłby się zasłaniać „*Gaming Act'em*", pretensja do niego pochodzi z zupełnie innej umowy, w której kompensata ze strony *bookmakera* (*consideration*) niedoniesienia do *Tattersall'u* nie jest sprzeczna z prawem, tym samym kontrakt z punktu prawnego je ważny.

W końcu warto podać, że brydż nie jest uważany przez prawo za hazard, bez względu na wysokość zaangażowanych kwot w grze, gdyż brydż jest grą myślową i wymaga umiejętności a nie jest oparty na czystym przypadku. Natomiast *poker*, *rummy* czyli polska klipa, *chemin de fer* i tyle innych interesujących rozrywek są zakazane — o czym zdążyli się dowiedzieć własnego doświadczenia liczni nasi „sportowcy".

Dr S.

Początek „grzechu pierworodnego"

(Korespondencja z okupacji amerykańskiej)

Korespondencja p. Janusza Laskowskiego w nr. 11 „Polski Walczącej" z dnia 23 marca b.r. porusza cały szereg istotnych zagadnień polskich kompanii wartowniczych w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, stawiając je na właściwej płaszczyźnie. Zupełnie słusznie nie przypisuje autor odpowiedzialność za stan chronicznego prowizorium i za brak konkretnego zabezpieczenia praw granatowych żołnierzy „polskiej stronie", pomija jednak sam początek tego „grzechu pierworodnego", którego złe skutki teraz odczuwamy. Postaram się wobec tego o uzupełnienie tej luki. Ponieważ między korespondencją p. Laskowskiego a moim artykułem istnieje znaczna rozpiętość czasu (prasę z Anglii otrzymujemy doryweczo i ze znacznym opóźnieniem), pozwolę sobie odświeżyć pamięć Czytelników przez podanie krótkiego, ale esencjonalnego wyjątku.

„Sądzę, że znaczną część odpowiedzialności ponosi tu strona polska, a nie amerykańska, ponieważ strona polska w okresie tworzenia kompanii wartowniczych interesowała się niemal wyłącznie l i c z b ą w a r t o w n i k ó w, a nie warunkami ich pracy, nie warunkami ich ubezpieczenia i nie warunkami codziennego życia".

Temu większość z nas, granatowych, może tylko przyklasnąć. Jednak dla ludzi, którzy nie mieli nigdy ściślejszego kontaktu z kompaniami wartowniczymi powyższe zdanie nie wystarczy, wymagając kilku komentarzy. Oto one!

Akuszerami kompanii wartowniczych byli londyńscy oficerowie łącznikowi, oficerowie-byli jeńcy z obozów niemieckich i dowództwo Brygady Świętokrzyskiej. Ci panowie są odpowiedzialni za to, co p. Laskowski przypisuje sumarycznie „stronie polskiej".

O londyńskich oficerach łącznikowych można powiedzieć, że byli to ludzie albo nie na miejscu, albo tak przepracowani, że sprawie kompanii wartowniczych nie mogli poświęcić stuprocentowej uwagi i pieczy. Tym większa odpowiedzialność spada na dwie pozostałe grupy, które przecież dobrowolnie podjęły się tego zadania.

Ludzi tych można z grubsza podzielić na trzy kategorie: 1) idealistów, którzy z całym zapałem zabrali się do pracy, zapominając o interesikach osobistych, w czym przeszkodą były im i są nadal dwie pozostałe grupy; 2) przeciętnych zjadaczy chleba i pieczeniarzy, dbających tylko o pełny żołądek i amerykańskiego papierosa, ewentualnie o brydża, jeśli wiek nie pozwala już na sukcesy u płci pięknej, samolubów, których snobizm rozrósł się do niebywałych rozmiarów na pożywce jenieckiego pawiaństwa; 3) ludzi energicznych, lotnych, nawet dość błyskotliwych, lecz chorobliwie ambitnych, którzy troszczyli się tylko o „ilość wartowników", równoznaczną dla nich z władzą i osiągnięcie jak najwyższego stanowiska.

Dwie pierwsze kategorie wartowniczych ginekologów były nieliczne z tego powodu, że, w zasadzie, bojowych idealistów jest w każdym środowisku mniej, niż sobków; ci ostatni czuli się zresztą w okresie tworzenia kompanii znacznie lepiej w otwartych klatkach jenieckich, a napłynęli w większej ilości do zbudowanego przez innych żłobu dopiero po pogorszeniu się warunków egzystencji w Altenstadt i Murnau oraz innych oficerskich obozach pojenieckich. Główna część winy spada wobec tego na łowców ilości, marzycieli o osobistej potędze, niedoszłych generałów oraz dowódców batalionów, pułków, brygad i dywizyj wartowniczych.

Czyż znając psychikę megalomanów można się dziwić dzisiejszemu stanowi rzeczy? Nie chcieli się narazić Amerykanom „nietaktownymi i prozaicznymi" żądaniami, bo inni, „taktowniejsi koledzy" mogliby ich u amerykańskiego dowództwa przelicytować; liczyli, że skoro tylko dobiją do wymarzonego stanowiska, będą w stanie nadrobić zaległości. Wzięli sobie zapewne za wzór legiony w kraju, które z biegiem czasu przerodziły się w świetnie zorganizowaną i niecierpiącą na żadne braki armię. Lecz zapomnieli ci absolwenci kursów dla wojewodów i starostów w obozach jenieckich, że legiony przerodziwszy się w armię pozostały w kraju, który zawsze dba o własnych synów - żołnierzy, gdy tymczasem kompanie wartownicze pozostały wprawdzie na żołdzie polskim ideowo, lecz materialnie wypłacanym z obcej kieszeni, która dla obcego nigdy nie jest hojna, nawet dla sprzymierzeńca.

Ludzi tych, z kilkoma wyjątkami, nie ma już w kompaniach wartowniczych, gdyż wystąpili z nich po rozwianiu się snów o potędze i poszli gdzie indziej szukać ochłapu władzy najczęściej w Warszawie, nie rzadko z całą ewidencją „pułkową"; ale pozostały skutki i niesmak intryg i rozgrywek osobistych, jakże często zanoszonych do dowództwa amerykańskiego, które nie mogło zrozumieć tego kopania dołków i w rezultacie odsunęło Polaków od wyższego stopnia dowodzenia, zostawiając ich tylko na kompaniach, odsuwając w cień dowódców batalionów (rzeczywistych), pułków i brygad (urojonych) na nieokreślone stanowiska oficerów łącznikowych. Dotyczy to niestety również działających w dodatnim sensie idealistów, którym i na nowym polu działania, bardzo zresztą określonym, podcinają skrzydła tradycyjne polskie intrygi, przesłonione płaszczykiem polityki, przykrojonym na przedwojenne wzory i szytym niezręcznymi, grubymi ściegami.

Poprawa warunków następowała tylko, jak to p. Laskowski słusznie zauważył „po prostu tam, gdzie odpowiedzialny za kompanie wartownicze oficer amerykański ma możność i chęć polepszenia warunków". Proszę zresztą nie myśleć, że warunki są tak tragiczne. Są z całą pewnością lepsze od losu polskich kompanii wartowniczych w strefie brytyjskiej, a nawet od warunków P.K.P.R. Otrzymujemy listy z Anglii od kolegów, którzy razem z nami służyli w kompaniach; ci piszą nam otwarcie, iż żałują, że się zdecydowali na wyjazd do Włoch i Anglii.

Są jednak pewne cienie i zgrzyty, do których należy przede wszystkim charakter tymczasowości i brak opieki na wypadek choroby i inwalidztwa. Wartownika, który przebywa ponad 60 dni w szpitalu skreśla się ze stanu nie tylko kompanii macierzystej, ale w ogóle wszystkich kompanii wartowniczych. O ile wyzdrowieje, może zostać przyjęty do kompanii z powrotem. A jeśli nie? Wartownika nie wolno przyjmować do szpitali amerykańskich, nawet do niemieckich, tylko do szpitali UNRRA UNRRA się niedługo skończy. Co wówczas?

A można było przy pewnej planowości organizacyjnej w okresie tworzenia kompanii zapobiec tym usterkom. Zwłaszcza wtedy, gdy stęsknieni za rodzinnym domem Amerykanie wyjeżdżali masowo na drugą półkulę po burzliwych strajkach i demonstracjach, mających czasami nawet posmak buntu. Wówczas polscy wartownicy byli niezbędni i postawienie rozsądnych żądań przez zgodną „polską stronę" na pewno nie zostałoby odrzucone, tym bardziej, że z całą pewnością zostałyby żywiołowo poparte przez rzeszę wartowniczą. Była polska strona, ale popękana niezgodą wskutek czego miast w pewnym, uczciwie wytargowanym siodle siedzimy dzisiaj na oklep na łasce amerykańskiej, co nie jest przyjemne, jakkolwiek znacznie lepsze od warunków polskich kompanii wartowniczych w strefie brytyjskiej.

Dziś na jakąkolwiek interwencję z naszej strony za późno, tym bardziej, że nie ma już londyńskich oficerów łącznikowych, a i kompetencje polskiego dowództwa są bardzo ograniczone. Nie możemy sobie pozwolić na stawianie jakichkolwiek żądań, bo dobry kupiec, a takim są Amerykanie z całą pewnością, bez specjalnego wysiłku może nas zastąpić przez rzesze Bałtów i Ukraińców, o których na początku nikt nie myślał i cały nasz dwuletni dorobek, mimo wszystko bardzo znaczny, poszedłby zupełnie na marne.

Ale nie za późno jeszcze na poprawę w łonie polskiego wychodźstwa! Czy nie byłoby na czasie zrozumienie nakazu chwili i zaprzestanie prywatnych „snów o potędze" we wszystkich środowiskach, tak wojskowych, jak i cywilnych? Bo stara gangrena wżera się coraz głębiej i zaczyna powoli zarażać zdrowe tkanki naszego wychodźstwa, zwłaszcza inteligencji, która powinna być mózgiem tych szerokich mas. Myślę o ludziach, którzy mogliby zdziałać wiele dobrego, gdyby pozbyli się urojenia o swym „posłannictwie dziejowym".

Bo inaczej dalszy nasz pobyt na dobrowolnym wygnaniu będzie tylko dalszym ciągiem skutków grzechu pierworodnego, którego winowajcami są tylko marzyciele o prywatnej potędze.

STANISŁAW ZYBAŁA

„Tydzień dziecka"

1—7 lipca

Nie szczędź wysiłku, gdy chodzi:
o zdrowie dziecka!
o naukę dziecka!
o opiekę nad dzieckiem!

SZCZYPTA HYPTA

UŚMIECH ALBIONU

Było smutno, ponuro,
beznadziejnie szaro
nad zbiedzonym Albionem,
tą krainą starą...

Każdy cierpiał, że Woodcock
nie zbije Louisa,
bo się w walce z Joe Baksim
coś nie bardzo spisał...

I bardzo ubolewał,
że Mills długie lata
musi czekać, by zostać
w boksie mistrzem świata.

Żałował niepomiernie,
że w Epsom, po Derby
na maszcie znów widniały
nie-angielskie herby...

Gospodynie, z angielska
zwane hałzłajfami
obrzucały Shawcrossa
brudnymi słowami,

Pięknym jedynie płacąc
jego Ekscelencji
za nadobny epitet
o impertynencji...

Morrison zaś przepraszał
za Shinwella mowę
i czekał, kto z nich znowu
powie głupstwo nowe.

Zza wody pisał Ben Hecht
przyjaźnie i miło
w sposób, o jakim tutaj
dotąd się nie śniło!

Niewesoło więc było,
ponuro i szaro
nad zbiedzonym Albionem,
tą krainą starą...

*

Aż wreszcie „nowy rozdział"
znowu się otworzył
i sycony nadzieją
duch Albionu ożył:

Witano z entuzjazmem
wyciągniętą rękę,
co miała Europy
zakończyć udrękę.

Ścierały się opinie
w dyskusji powodzi,
a każdy pytał z lękiem
czy się Rosja zgodzi?...

I wszyscy się łudzili,
że się zgodzi pewnie...
I już się do tej myśli
uśmiechali rzewnie.

Wreszcie przyszło „da"
z Moskwy
ot, jak zwykle — przynęta.
(Któż z nas poprzednich przynęt
dotąd nie pamięta?)

Lecz uśmiech znowu zabłysł.
znikł cień smutnych masek
— i głowy jeszcze głębiej
schowały się w piasek...

J. HY

Z NOWYCH KSIĄŻEK

TRZY BROSZURY

„Biblioteka Polska w Wielkiej Brytanii" zainaugurowała swoje plany wydawnicze wypuszczeniem na rynek trzech broszur, z których w dorobek emigracyjny. Ze wszyst każda jest swego rodzaju wkładem kich trzech na miejscu pierwszym postawiłbym broszurę Klingi. Na miejscu ostatnim — Zbyszewskiego. Almarski, dający przekrój tego, co emigracja zdziałała i legitymujący się wobec przyjezdnych na Wyspy Brytyjskie osiągnięciami Londynu, zajmowałby miejsce środkowe.

„Emigracja walczy dalej" jest pracą dowodzącą o przynależności Polski do kultury zachodniej i omawiającą zadania, wynikające z tej przynależności. Klinga wyciąga również z tego naukę. Na Zachodzie człowiek stanowi sedno zainteresowania, jest głównym przedmiotem szacunku i troski. Przy prowadzeniu więc walk zbrojnych oszczędne gospodarowanie życiem ludzkim powinno być pierwszym nakazem polityków i strategów. Również w życiu pokojowym prawa człowieka winny być przede wszystkim szanowane. Pod tym względem nie zawsze w przeszłości byliśmy w porządku.

Emigracja ma zadania konkretne — przede wszystkim prowadzenie walki otwartej o przywrócenie niezawisłości państwowej. Po drugie — przechowywanie ciągłości legalnego istnienia najwyższych władz państwowych. Wreszcie pilnowanie barometru opinii publicznej świata i niedopuszczenie do tego, by obecny stan rzeczy został w umysłach ludzkich uznany za ostateczny. Zadania szerokie i niełatwe do przeprowadzenia. Tym niemniej dla dzisiejszego wychodźstwa politycznego wypełnienie ich będzie kiedyś legitymacją powrotu do Polski.

Klinga twierdzi, że żaden naród nie jest w stanie zerwać z przeszłością, w której tkwi głęboko korzeniami. Dlatego Rosja stara się dzisiaj siłą przerobić naród polski, wykorzenić go z jego własnej gleby historycznej, przesadzić go z europejskiej do azjatyckiej. Zachowanie ciągłości rozwoju cywilizacyjnego i kulturalnego jest więc także zadaniem ludzi wolnych, żyjących na emigracji.

Broszura jest doskonałym ujęciem myśli nurtujących Polaków na obczyźnie. Daje też ciekawy rozbiór sytuacji w kluczowych krajach świata. Prócz Stanów, Wielkiej Brytanii, Rosji i Polski autor włącza do swego rzędu także Europę, która według niego nie liczy się dzisiaj zupełnie jako czynnik siły wojennej.

Broszura Klingi posiada przy tym jeszcze jedną wielką zaletę, jest napisana niesłychanie jasno, zwięźle i przystępnie.

„Dorobek lat wojny" jest publikacją innego charakteru. Zadaniem jej jest pokazanie czytelnikowi nieobznajmionemu z machiną rządową, jak funkcjonowała ona tutaj przez 1940—1945 — czego ta machina dokonała, jak była zorganizowana i co osiągnęła dla kraju. Kierunki działalności w rodzaju spraw wojska, łączność z podziemiem w Polsce, polityka zagraniczna, opieka, przygotowywania do usunięcia skutków wojny na ziemiach polskich itp. podaje autor w formie krótkich notatek informacyjnych.

Chodzi tutaj o odparcie powierzchownego krytycyzmu, jaki często spotyka się w kołach polskich, które przez wojnę żyły z daleka od Londynu, że środek polityczny działał albo mało, albo źle. Gdy czyta się ten króciutki szkic podający szereg konkretnie wykonanych zadań widzi się, że centrum polityczne Polski w wojnie nie było bierne. Same przygotowania na okres powojenny, obejmujące szczegółowy plan gospodarczy, reformę rolną, udział w powojennych konferencjach międzynarodowych i przygotowywanie podstaw do umów handlowych — żeby wymienić tylko tę dziedzinę pracy — wykonane zostało na szeroką skalę.

Zarzut, jaki zapewne czytelnik postawi tej broszurze jest zbyt silne zasklepienie się autora i jakby zasugerowanie pracami przeróżnych komisji, podkomisji, konferencjami i rozmowami. Sprawy morskie — niewątpliwie istotne i ważne — w dają się autora specjalnie pasjonować. Dorobienie do tej broszury szerszego tła działalności w terenie (polskie placówki dyplomatyczne wpływy na prasę i parlamenty wolnego świata itp.) niewątpliwie dałby czytelnikowi szerszy oddech, którego brak w czterech ścianach pokoju konferencyjnego.

Trudno mi cokolwiek powiedzieć o „Polakach w Anglii" poza tym co napisałem już w nr. 8 „Orła Białego" pt. „W obronie propagandy". Chyba to tylko, że Zbyszewski starał się i tutaj odbiec od szablonu zarówno pod względem formy, jak i treści. Ktoś, kto lubi dosadne wyrażenia i kategoryczne osądy wypowiadane w krótkich lapidarnych zdaniach, nie znoszących żadnej krytyki, napewno znajdzie u Zbyszewskiego zaspokojenie swych upodobań.

ZYGMUNT NAGÓRSKI. jr

*) Stanisław Klinga „Emigracja walczy dalej" — Londyn 1946; Witold Almarski „Dorobek lat wojny" — Londyn. 1946; Karol Zbyszewski „Polacy w Anglii" — Londyn 1946. Skład główny: „Orbis", 38 Knightsbridge. London S.W.1 oraz 167 Westbourne Grove. London. W.11.

ANGLIA NA CODZIEŃ

ROZMOWA DOŃCIA Z AUTOREM

— „Wiesz, Dońciu — zwróciłem się do naszego bohatera — mam ochotę cię uśmiercić."

— „Za co?" — oburzył się Dońciu, grający w strzałki (*darts*) z tłustym *Sam'em*.

— „Jeżeli powiesić, to naturalnie za głowę."

— „Ale ja pytam, co ja takiego zrobiłem, że mnie chcesz uśmiercić?"

— „Przestajesz być interesujący, *in fact* robisz się nudny: po angielsku już się nauczyłeś mówić i coraz trudniej mi wyławiać z twoich rozmówek perły do „Anglii na codzień". Jesteś ciągnięty za uszy, jak kawały w *B.B.C.* A najgorsze to, że jesteś cotygodniową zmorą — że z nieubłaganą regularnością trzeba przygotować nową porcję twoich głupstw."

— „Rozumiem, wiszę nad tobą jak miecz D e k l a m o s a."

— „O widzisz, to już lepiej: D e k l a m o s a. Niedługo zamiast pisać o twoim angielskim można będzie za temat wziąć twoją polszczyznę. Chociaż my wszy po angielsku dobrze nie umiemy i polskiego zapominamy: niedawno na pewnym wielkim zjeździe ktoś powiedział: „Dlaczego nie przyjęto do Zjednoczenia Polskiego — Związku polskich p s y c h o p a t ó w ?" — I wszyscy słuchali z powagą."

— „Nie powinieneś się śmiać, że nie znam mądrych wyrazów — powiedział Dońciu z wyrzutem — ja wprawdzie jestem z miasta, ale mieszkałem na jego p e r y p e t i a c h , więc sąsiedztwo to nie była j e l i t a towarzyska. Owszem, bywały u nas nawet u t y t ł a n e osoby: jeden baron i jeden s z a m b a l o n papieski, bardzo w y k w i n t o w a n e towarzystwo."

— „Tak, to może podnieść twoje akcje w oczach twej *girl-friend*, ale nie wystarczy czytelnikom „Polski Walczącej". Jak wiesz, panuje dziś demokracja i twoje najbardziej nawet u t y t ł a n e s z a m b a l o n y mogą się tylko przyczynić do pogłębienia konfliktu między „górą" a „dołami". Twoje wyczyny w nocnych klubach dowiodły zgnilizny moralnej, jaką przeżarta jest nasza emigracja, a twoje wypowiedzi na dowolne tematy świadczą o jej ubóstwie umysłowym. Tak, myślę, że najlepiej będzie cię uśmiercić."

— „A jakąż śmiercią mam zginąć?" — spytał Dońciu, celując strzałką w środek tarczy i trafiając w gazetę, którą czytał siedzący niedaleko oficer oświatowy.

— „Zginiesz śmiercią lotnika: przygnieciony drzwiami hangaru."

— „Czytelnicy nie pozwolą mnie zabić — powiedział Dońciu z wiarą — jestem postacią symboliczną."

— „Jesteś postacią c y m b a l i c z n ą — zgodziłem się — a jeśli czytelnicy chcą, mogą cię utrzymać przy życiu własnym przemysłem: przecież rozmawiasz nie tylko ze mną, popisujesz się swą angielszczyzną, manierami, dowcipem — przed każdym, kogo spotykasz na swej drodze; jesteś wszędzie, gdzie rodacy popełniają gaffy, gdzie mówią od rzeczy, gdzie się sami ośmieszają; setki osób spotykają cię codziennie, setki osób spostrzegają twoje głupstwa — niech że je łowią i przesyłają bez oprawy do naszego skarbczyka twoich wyczynów. Koperty z napisem „Dońciuszczyzna" (Redakcja „Polski Walczącej", 52 Halton House etc.) To jedyny sposób, jaki widzę, na utrzymanie twej nędznej egzystencji. W przeciwnym razie, uprzedzam cię..."

Przerwał mi nieludzki krzyk adiutanta stacyjnego, który zerwał się z fotela, trzymając się za łydkę z tkwiącą w niej strzałką.

Był to jeden z celniejszych rzutów Dońcia.

— „Jako Wilhelm Tell też byłbyś słaby" — dorzuciłem Dońciowi, który tylko rzekł: „*Sorry*", jako że już świetnie opanował język angielski.

RAD

Rozwiązania poniższych zagadek oraz nazwisko osoby nagrodzonej ukaża się w 28- numerze „Polski Walczącej".

JAKI DZIŚ DZIEŃ?

Wczoraj, wyszedłszy z kina spotkałem dwóch spierających się ze sobą malców. Chodziło im o dzień tygodnia.

Jaś, zapytany co mamy dziś powiedział — sobotę; Staś — niedzielę. Zapytałem ich, jaki dzień będzie jutro. Środa — odpowiedział Jaś; nie, wtorek — rzekł Staś. A co było wczoraj? Znów odpowiedzi były różne. Według Jasia — czwartek, według Stasia zaś — piątek. Każdy z chłopców tylko raz odpowiedział prawidłowo.

Jaki mamy dziś dzień tygodnia?

Spróbuj...

ARYTMETYKA POLITYCZNA

Co się zmieniło w Europie między 1939 rokiem a dniem dzisiejszym? — Nic.

Dla sceptyków przytaczamy dowód matematyczny; w poniższym dodawaniu litery zastąpione odpowiednimi cyframi nie powinny zmienić słuszności równania.

H plus IT plus LE plus R równa się S plus TA plus LI plus N

Rozwiązania wszystkich zadań należy przesłać do środy, dn. 9 lipca br. (data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej" (52, Halton House, 20—23, Holborn, London, E.C.1) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ".

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki, w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK z Nr. 24

Za prawidłowe rozwiązanie uważane jest każde, zadośćczyniące warunkom zadania. Więc np. w „Tasiemcu geograficznym" — pasmem gór mogły być zarówno Andy jak Alpy, a „Magiczne działanie" było słuszne w paru wersjach.

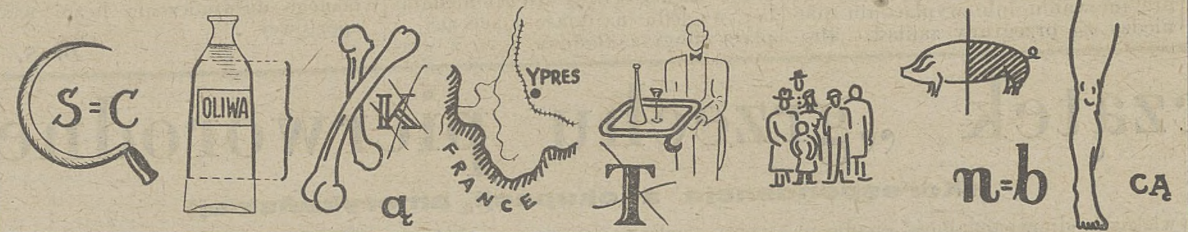
Magiczne działanie: 9238 — 8924 równa się 314.

Coś dla lotników: Przeciętna szybkość 276,9 mil/godz.

Tasiemiec geograficzny: Lizbona, Argentyna, Alpy, Ypres, Smoleńsk, Kinross Siedlce, Edynburg, Genua, Amiens, Sahara, Adriatyk, Kraków, Waterloo, Odessa, Algier, Ren, Northampton, Neapol, Lublin, Nowogród.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań nagrodę w postaci książki otrzymał P. Petryka Jan, 135, Yarborough Road, Lincoln.

REBUS



KSIĄŻKI NADESŁANE

Stanisław Twardzic: Rozważania polskie. Niemcy, 1947, str. 84.

Wojskowy i konspiracyjny wysiłek Polski we Francji. Wyd. Wydziału Kult.-Oświat. Polskiej Wojskowej Misji Likwidacyjnej we Francji. 1946. Str. 104 / 5 map.

Melchior Wańkowicz: La litanie de la faim. „Les Editions de la Nouvelle France". Paris. Str. 17

SPIS RZECZY

WYDAJE "FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices):
52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C. 1. Tel. CHAncery 7747
(w poniedziałki i wtorki: Slough)
Redakcja nie zwraca rękopisów nie zakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10 s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1sh. za słowo, trzykrotne 1sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 160 Earls Court Road, London, S.W.5.